

# DEKADA Literacka

Proza Kornela Filipowicza ■ Poezja Paula Celana, Josifa Brodskiego i Igora Kantorowskiego  
■ Manuela Gretkowska o sobie ■ Małgorzata Ruda o „Reformatorze” ■ Felieton Włodzimierza Maciąga



AnneMarie Frascoli, *Bez tytułu*, 1987, akwarela na gumie

## Jan Goślicki **Słówko o „Rozpaczy zorganizowanej”**

**K**iedy w dwadzieścia lat z okładem, po przekroczeniu środka mego życia, w celu oddalenia od siebie trupa zwróciłem się do Piotra Skrzyneckiego z prośbą o próbną angaż, nie ukrywałem, że chcę sobie na jego plecach urządzić kurację. Założeniem tej ostatniej było oddzielenie trupa osobistego i intymnego od osmotycznie z nim połączonych trupa powszechnego – od pierwszego chciałem następnie uwolnić się publicznie odprawianą żalobą, która równocześnie stanowiłaby coś w rodzaju efektu obcości wobec trupa drugiego; i to zgrozą, to śmiechem, relatywizowałaby go każdej soboty. Postulat. Paradygmat. Szło mi o obmyślenie wzoru obrony przed regresem od środka i od zewnątrz; zakładałem zbieżność interesów, gdyż działalność Piwnicy odwiecznie zasadza się na gromadzeniu rozmaitych – o jakże rozmaitych! – ludzi, którzy za jej bramą mogą sobie skakać do gardła, znalazłszy się jednak w środku, wstępują w związek filomacki – w Związek Kawalerów Antyregresu. Regres, jak wiadomo, polega na tym, że schodzimy z drogi wyzwaniom wymagającym od nas takiego czy innego ryzyka i cierpienia, nieświadomie utożsamiając się z wcześniejszym, przeżytym już stadium rozwoju osobniczego. Dorosłych ssących palec lub szczebiocących językiem dziecka nikt niby nie lubi, niemniej istnienie ich legionu jest dla środowisk woluntarnych nader wygodne, toteż społeczna walka z regresem prowadzona jest środkami z natury regresywnymi: za pomocą kiczu dającego osobnikowi regresywnemu

mu poczucie wszechpotęgi lub za pomocą Wartości znajdujących się w posiadaniu różnych instytucji i instancji, które mają prawo żądać i żądają od tychże osobników podciągania się do dyktowanego przez Wartości poziomu, wtrącając ich w ten sposób w większe jeszcze zahukanie. Mimochoodem wspomnę – nie chciałbym się nad tym rozwodzić i lepiej, żeby się nie okazało, że kiedyś będę musiał – że doświadczenie życiowe mojego rocznika wskazuje, iż nieświadoma odmowa ryzyka i cierpienia oznacza bezwyjątkowo również nieświadome przyjęcie założenia, w myśl którego ryzyko i cierpienie wziął na siebie kto inny, więc dalejże pod jego sztandary.

Otóż Piotr to właśnie Skrzynecki nie tylko że zaczynał swe życie artysty od intuicji powiadającej, że scena kultury to scena regresu i antyregresu, ale ponadto jak nikt opanował sztukę to wcielania się w role regresywne i cielesno-słownego demonstrowania zgubnych konsekwencji regresu, to stawania na głowie i przemawiania w tej pozycji językiem najczystszej poezji. Tę procedurę ucieleśnienia wielki aforyzm Celana:

Wykładał prawa grawitacji, przedstawiał dowód po dowodzie, ale to było jakby mówił do głuchych. Wobec tego uniósł się w powietrze i zaczął nauczać tych praw z lotu. Wtedy mu uwierzono, ale nikt nie był zdziwiony, kiedy nie wrócił.

Czyli zwracałem się do eksperta Antyregresu, do kogoś, kto wszczepiając w ego – w tow. Ego, w Ego sp. z o. o., czy jak tam – bakcyli ironii, wyposażał je w zdolność sprawowa-

nia kontroli nad mocami tellurycznymi, leczyl z poczucia niepełnowartościowości. Ekspert dał mi ów angaż – pod warunkiem, że czas każdorazowej produkcji nie przekroczy siedmiu minut.

Tak to, w cieniu Piotra, zrodziła się *Rozpacz zorganizowana*. Sam tytuł jest rekapitulacją rady Nachmana z Braclawia wynikającej z cytatu:

„Rozpacz nie wykazuje najmniejszego podobieństwa ani do melancholii, ani do depresji. Rozpacz jest sprawą serca, podczas gdy depresja jest sprawą śledziony. Depresja pochodzi od Szatana, zaś Panu jest ona nienawistna. Natomiast rozpaczone serce jest w oczach Pana szczególnym i bardzo umiłowanym klejnotem.

Byłoby wspaniale, gdybyśmy potrafili chodzić ze zrozpaczonym sercem przez cały dzień. Ale dla człowieka przeciętnego łączyłoby się to ze zbyt wielkim niebezpieczeństwem przeistoczenia się rozpacz w potworka depresji. Z tego powodu każdy powinien raz dziennie, w odosobnieniu, rozpacz swą zanosić Panu – przeznaczając na to za każdym razem pewien ściśle określony czas. Ale pozostała część dnia powinna być wypełniona radością.

Nauczyciel podkreślał to wielokrotnie, zabraniając nam rozpacz – z wyjątkiem wspomnianych kilku jej codziennych minut”.

Nachman z Braclawia (relacje uczniów).

CIĄG DALSZY NA STR. 4

## WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

poleca:

Aleksander Hertz  
SZKICE  
O TOTALITARYZMIEwyb. J. Garewicz; Seria: Biblioteka  
Socjologiczna; Wyd. 1;  
ISBN 83-01-11337-5

Tom składa się z pięciu rozpraw: *Militaryzacja stronnictwa politycznego (1936)*, *Posłannictwo wodza (1936)*, *Drużyna wodza (1937)*, *Zagadnienie socjologii wojska i wojny (1939, druk 1946)* oraz *O władzy Stalina (1937)*. W okresie powstania były to prace pionierskie i znacznie wyprzedzające wszystko to, co na temat władztwa charyzmatycznego, faszystów i funkcjonowania partii totalitarnej pisano w innych krajach. Również obecnie socjologowie – i nie tylko oni – mogą się z nich uczyć metody analizowania ruchów i partii politycznych.

William Graham Sumner  
NATURALNE SPOSOBY  
POSTĘPOWANIA  
W GROMADZIE

Studium socjologicznego znaczenia praktyk życia codziennego, manier, zwyczajów, obyczajów oraz kodeksów moralnych

Tłum. z ang.; Seria: Biblioteka Socjologiczna;  
Wyd. 1; ISBN 83-01-11556-4

Praca Sumnera – jednego z ojców-założycieli socjologii amerykańskiej – należy do pozycji uznanych powszechnie za klasykę socjologii. W rozwoju tej dyscypliny odegrała poważną rolę, co zgodnie podkreślają specjaliści. Choć nie jest książką aktualną (jej pierwsze wydanie ukazało się w 1906 r.), porusza i formułuje problemy, które w żadnym razie nie utraciły aktualności. Dzięki wielości szczegółów etnograficznych, dokonanej z talentem analizie bogatego materiału empirycznego dzieło Sumnera powinno się spotkać z uznaniem wielu czytelników, nie tylko specjalistów.

Otfried Höffe  
IMMANUEL KANT

Tłum. z niem.; Wyd. 1; ISBN 83-01-11656-0

Czy dla filozofii Kant jest tylko pewną postacią historyczną, czy też również i dziś zastępuje na nasze autonomiczne zainteresowanie? Kant zalicza się do największych myślicieli świata zachodniego i bardziej niż ktokolwiek inny odcisnął on swe piętno na filozofii nowożytnej. Ale przecież także Galileusz i Newton uchodzą w swej dziedzinie za nader wybitnych naukowców. Mimo to, dziś reprezentują oni minioną postać fizyki, która została jednoznacznie zdystansowana przez teorię kwantów. Czy tak samo rzecz się ma z filozofami. Czy Kant jest reprezentantem wyróżniającej się, niemniej jednak już zdystansowanej, postaci ludzkiego myślenia?

Paweł Kozłowski  
SZUKANIE SENSU,  
CZYLI O NASZEJ  
WIELKIEJ ZMIANIE

seria: Logos; wyd. 1; ISBN 83-01-11678-1

Praca Kozłowskiego składa się z dwudziestu dwóch krótkich esejów-felietonów. Jest to zbiór przemyślnych, ale zarazem niepretensjonalnych wypowiedzi, odnoszących się do podstawowych spraw egzystencjalnych współczesnego Polaka. Wprawdzie nie wszystkie rozdziały poświęcone są Polsce, niektóre dotyczą problemów globalnych, lecz także w nich Polska jest zawsze, chociażby w domyśle obecna. Osią zespalałą, skądinąd tematycznie bardzo zróżnicowane rozdziały pracy Kozłowskiego, jest polityka, w szczególności aspekty historyczne, instytucjonalne, filozoficzne i psychologiczne postaw i zachowań politycznych.

Roman Ingarden  
STUDIA  
Z TEORII POZNANIASeria: Dzieła filozoficzne Romana Ingardena;  
Wyd. 1; ISBN 83-01-11657-9

Jest to czternasty, ostatni już tom *Dzieł Filozoficznych Ingardena*, jednego z najwybitniejszych filozofów XX wieku, fenomenologa, który stworzył system filozoficzny w opozycji do idealizmu Husserla. Prace tu zgrupowane będą wydane po raz pierwszy: uzupełnią obraz poglądów Ingardena w dziedzinie teorii poznania. Pierwsza z nich miała być drugą częścią *U podstaw teorii poznania*, nieukończony zarys Ingardenowskiej epistemologii; trzy następne dotyczą spostrzeżenia zewnętrznego; ostatnia poświęcona jest poglądom epistemologicznym M. Helmholtza. Dodano krótki wstęp informujący o doborze prac i o nich samych redaktora naukowego tomu, Adama Węgrzeckiego.

Zapraszamy do naszych księgarni promocyjnych na terenie całego kraju, w których można kupić i zamówić wszystkie publikacje naszego Wydawnictwa.

WYDAWNICTWO NAUKOWE  
PWN

ul. Miodowa 10, 00-251 WARSZAWA

Dział Sprzedaży: tel. (0-2) 635-09-76

fax (0-22) 26-09-50

ODDZIAŁ w Krakowie

31-037 KRAKÓW

ul. św. Tomasza 30

Philippe Braud  
ROZKOSZE  
DEMOKRACJI

Le jardin des delices democratiques.  
Pour une lecture psycho-affective  
des regimes pluralistes

Tłum. Anna Matusiak; Seria: Logos; wyd. 1  
ISBN 83-01-11701-X

Braud stara się odpowiedzieć na pytanie, na czym polega wartość demokracji pluralistycznej. Zdaniem Brauda polega ona na stworzeniu optymalnych warunków regulacji i stabilizacji życia społecznego. Demokracja pluralistyczna jest najbardziej skuteczną w uspokajaniu agresywności społecznej, regulowaniu społecznych frustracji, oferowaniu rozwiązań zgodnych z oczekiwaniami rządzących i z ambicjami ludzi sprawującymi władzę. Sceptyczne spojrzenie racjonalisty prowadzi Brauda do konkluzji, iż co prawda kluczowe pojęcia demokracji, takie jak „suwerenność ludu”, „równość obywateli”, „prawo większości”, „respektowanie opozycji”, również występują w kontekście „strachu”, „agresywności”, „nienawiści wobec innych”, ale ten kontekst jest bardzo ograniczony, podczas gdy jednocześnie mamy do czynienia z afirmacją wartości pozytywnych, takich jak „uznanie odpowiedzialności” i „pochwała równości szans”.

WYDAWNICTWO  
NAUKOWE  
PWN

## Drodzy Czytelnicy

Pragniemy poinformować, że dzięki niektórym naszym Fundatorom i Sponsorom udało nam się przezwyciężyć trudności finansowo-organizacyjne. Będziemy więc nadal wydawać „Dekadę Literacką”, ale w tym roku jako miesięcznik. DL od marca ukazywać się będzie w połowie każdego miesiąca w zwiększonej objętości 16 kolumn. Zmuszeni też jesteśmy niestety podnieść cenę do 1,50 NŻL, za co bardzo przepraszamy, ale i tak została ona skalkulowana poniżej „kosztów własnych”.

Gorąco zachęcamy do prenumeraty, która zapewni Państwu regularne otrzymywanie pisma. Warunki prenumeraty zostały przedstawione na stronie przedostatniej.

W najbliższych numerach podamy adresy księgarń, w których dostępna będzie „Dekada” oraz określiliśmy w przybliżeniu obszar dystrybucji „Ruchu”

Wydawca – Krakowska Fundacja Kultury

**Warunki prenumeraty:** Prenumerata roczna krajowa wynosi 24,00 zł (240 000 zł), I półrocze – 9,60 zł (96 000 zł) II półrocze – 14,40 zł (144 000 zł). Prenumerata roczna zagraniczna wynosi 15 USD: I półrocze – 6 USD, II półrocze – 9 USD. Prenumeratę prosimy wpłacać na konto Krakowskiej Fundacji Kultury, BPH IV o/Kraków nr 323415-709987-132-3.

## Komunikat

30 stycznia został rozstrzygnięty Konkurs zamknięty na sluchowisko ogłoszony przez Program II PR, Ministerstwo Kultury i Sztuki i Radio Kraków. Do udziału w Konkursie zaproszono 29 autorów, odpowiedziało na zaproszenie 25 przysyłając w sumie 29 utworów.

Jury pod przewodnictwem Tadeusza Nyczka w składzie:

Tomasz Burek  
Henryk Chłystowski  
Krzysztof Karasek  
Janusz Kukuła  
Wojciech Markiewicz  
i Mieczysław Orski

przyznało następujące nagrody:

- I. – w wysokości 30 mln starych złotych Andrzejowi Mularczykowi godło „Port” za sluchowisko pt. „Solo na trąbkę”
- II. – w wysokości 20 mln starych złotych Andrzejowi Mularczykowi godło „333” za sluchowisko pt. „Cyrk odjechał, lwy zostały”
- III. – w wysokości 10 mln starych złotych Jarosławowi Abramowowi-Newerly’emu godło „Postulantka” za sluchowisko „Reduta”

oraz dwa równorzędne wyróżnienia w wysokości po 5 mln starych złotych:

- Januszowi Krasińskiemu-Krasny godło „Pamięć” za sluchowisko „Drugi pogrzeb sekretarza Pużaka”
- Kazimierzowi Orłowskiemu godło „Szymon” za sluchowisko „Odpowiem na wszystkie pytania”

Wszystkie sluchowiska będą emitowane w Programie II PR w piątki o godzinie 21.25 począwszy od marca tego roku.

## Konkurs

1) Konkurs na Brulion Poetycki (IV edycja), nagroda \$2000.

W konkursie uczestniczyć mogą debiutanci (po debiucie prasowym) oraz autorzy jednej książki, którzy nie ukończyli 30 roku życia. Prosimy: ● debiutantów o nadsyłanie zestawów wierszy – publikowanych i niepublikowanych – o maksymalnej objętości 22 stron maszynopisu w pięciu kopiach ● autorów książki poetyckiej o nadsyłanie oprócz zestawów wierszy egzemplarza tomiku i czterech jego kserokopii. W konkursie na Brulion Poetycki mogą brać udział uczestnicy jego poprzednich edycji.

2) Konkurs na Brulion Prozatorski (II edycja), nagroda \$2000. W konkursie uczestniczyć mogą debiutanci (po debiucie prasowym) oraz autorzy jednej książki, którzy nie ukończyli 40 roku życia. Prosimy: ● debiutantów o nadsyłanie – w pięciu kopiach – tekstów (publikowanych i niepublikowanych, także fragmentów powieści), których objętość w sumie nie powinna przekraczać objętości jednego arkusza autorskiego (22 strony maszynopisu); ● autorów książki – o nadsyłanie oprócz tekstów na konkurs także książki i czterech jej kserokopii.

Teksty wraz z notką biograficzną i wykazem publikacji prosimy nadsyłać do dnia 31 lipca 1995 r. Wyniki zostaną ogłoszone jesienią 1995 r.

Fundacja BRULIONU, skr. poczt. 136  
Warszawa 86

# Nie ma słów

Z Manułą Gretkowską  
rozmawia Agnieszka Kosińska

**Agnieszka Kosińska:** Jesteśmy po „Rozmowy o młodej polskiej literaturze” – warsztaty literackie, mamy za sobą.

**Manuela Gretkowska:** Tak. Te „warsztaty” – to była okazja do spotkania ludzi, których zawsze czytam, ale nigdy nie widziałam: Olgi Tokarczuk, Nataszy Goerke, Andrzeja Stasiuka, Janusza Rudnickiego.

**A. K.** Olga Tokarczuk powiedziała mi: „Wiesz, ktoś nas tak zestawil: Goerke, Gretkowska, Tokarczuk, Rudzka. I tak już zostało. A kto to jest Zyta Rudzka?”

To świadczy m. in. też o tym, że istnieje silna potrzeba stworzenia kobiecego, literackiego, kultowego, kulturalnego (hm) lobby. A potem „wy” się obruszacie.

**M. G.** Ja się nie obruszam. Gdy wymieniają nazwisko, to jest w porządku, niech sobie ludzie wymieniają, tylko mnie śmieszy to, że mówią „feminizm”, „postmodernizm” jakby bali się, gdzie mnie wsadzić. Piszę o Marii Magdalenie, to już kojarzy się z feminizmem teologicznym. Święty Hieronim też pisał o niej, a to był bardzo święty człowiek i w dodatku pustelnik. „Postmodernizm” to jest pojęcie-worek. Ja mówię sobie „ale design” jak nie wiem, co powiedzieć, albo „ale postmodernizm” na zasadzie „kurwa” – przerywnik. Jakby ludzie bali się powiedzieć, że to jest Gretkowska. To nie jest feminizm ani postmodernizm. To jest Gretkowska i tyle.

**A. K.** No tak. Ale ty sama używasz takich słów, posługujesz się tak kulturowo osadzonymi słowami-wytrychami, w sposób który skłania krytyków do stosowania takich etykietek. Twoje powieści właściwie nie są „twoje”. O ile np. Goerke stworzyła rozpoznawalny swój język, ty mówisz „naszym językiem”. Najlepszą twoją książką byli właściwie „My zdies’ emigranty”.

**M. G.** Ależ to straszna rupota. Przecież to sześć lat temu. Nie, ja się absolutnie nie zgadzam. Każda forma ma inny język. Nie mogę opowiedzieć „Tarota paryskiego” językiem gazety. Bo język „My zdies’ emigranty” to język gazety. Po prostu ludzie byli wtedy na tym wychowani, tak żyli. Gdy zaczęłam czytać na warsztatach fragment z tej książki, to się załamalam. Pomyślałam: Nie mogę. Ja tak nie piszę. Co to jest? Co za starość! To tak jakby szesnastolatki dać do przeczytania to, co napisał mając lat dziesięć.

**A. K.** Znasz „Pannę Nikt” Tomka Tryzny. W końcu ten sam złośliwy demon literatury was do niej wpędził. Myślę o recenzjach Czesława Miłosza.

**M. G.** Nie czytałam.

**A. K.** Ona jest napisana w taki sposób, który pomaga czytać szybko. Nie interesuje cię, na czym to polega?

**M. G.** Przeglądałam, bo to leżało pół roku przy telefonie u moich znajomych, więc jak dzwoniłam, to przerzucałam.

**A. K.** Tryzna napisał to jako androgyniczny demon, bo właściwie te „prześwity męskości” nie są w „Pannie Nikt” zbyt duże. To taka niby opowieść o niegrzecznych dziewczynkach, o złości, o zazdrości, o inicjacji.

**M. G.** Bardzo ciekawe, ale mnie nie interesuje. Staram się czytać literaturę faktu, dokumenty, eseje, reportaże, coś, co, może mnie pobudzić. Czytanie powieści to nie moja pasja.

**A. K.** Czy masz świadomość, że to, co piszesz teraz jest „nowe”, „lepsze”. Z młodych pisarek jesteś najlepiej zorganizowana, najlepiej dbasz o swój image.

**M. G.** Nie. Tak, jak nie jest się świadomym pojawiania się myśli w głowie, po prostu się pojawiają. Mam taką antropologię słów. Piszę ręcznie. Jesteśmy liniowcami. Myślimy liniowo. Nauczyliśmy się pisać ręką ileś pokoleń do tyłu, paluchem po piachu. Wierzę, że motoryczne uruchomienie ręki wyzwala inne sfery mózgu.

**A. K.** Odwijanie spirali.

**M. G.** Tak. Odwijanie spirali. Węża, tego, który w nas siedzi. Ja po prostu przepisuję. Inaczej to działa, gdy się „tapie” na klawiaturze komputera czy maszyny do pisania. A poza tym komputer to niewygodna rzecz przy przeprowadzkach. Ale też sobie kupię. Natomiast wymyśliłam sobie genialną rzecz u siebie w domu. Nie kupowałam mebli, bo wiedziałam, że się wyprowadzę za cztery miesiące. Miałam dwa fotele, ktoś przyniósł mi deskę na te fotele, do tego krzesło. Miałam stół na cztery miesiące. I wpadłam na po-

mysł, bo gubię długopisy. Więc na sznurku przywiązałam długopis do sufitu i on tak zwisa. Nigdy go nie gubię, a poza tym mam taką groźbę, jak szubienica, że muszę usiąść i pisać, bo jest to widoczne z każdego punktu mieszkania.

**A. K.** Bardzo plastycznie organizujesz przestrzeń domową i... literacką.

**M. G.** Najpiękniejszym dla mnie momentem (to pewnie będzie jakiś uraz w końcu, ciągłe przeprowadzki, zmiana mieszkań) jest ten, kiedy wsiadam do taksówki ze swoimi bagażami i się wyprowadzam, to jest taka odległość i takie prawo fizyki zarazem, że jedno ciało przyciąga drugie, ale tylko na pewną odległość. Jest taki moment, między starym domem a nowym, całkowitej lekkości, braku przyciągania. Wtedy jestem najszcześliwsza. Moment jazdy, lekkości.

**A. K.** A to ciekawe. Wszystkie kobiety, z którymi rozmawiałam (kobiety pisarki), wspominały o mieszkaniach, domach, „pokojach na własność”, przeprowadzkach.

**M. G.** No, tak. Bo trzeba mieć to miejsce, żeby zwalić swoje bagaże.

**A. K.** Powróćmy do za-u-domowienia w literaturze...

**M. G.** Gdy pojawili się „My zdies’ emigranty” lamentowano: Boże, co to jest, to nie jest powieść, to nie jest pamiętnik, to jest be. Potem po „Tarocie paryskim”: Boże, jakie „My zdies’ emigranci” są wspaniali. Będzie następna książka i odbiorca się przyzwyczaja, czuje to. Uważam, że stworzenie własnego języka, to jest najgorsza tragedia, jaka może być, bo myśli są absolutnie ciągle nowe, nowa jest ich forma, bo język tworzy myśl. Ja w życiu nie chciałabym stworzyć własnego języka. To byłby koniec myślenia.

**A. K.** Chodziło mi jeszcze o coś innego. Jesteś rozpoznawalna bardziej jako osobowość. Manuela Gretkowska – osóbką, która bardzo precyzyjnie, sprytnie tworzy własną biografię.

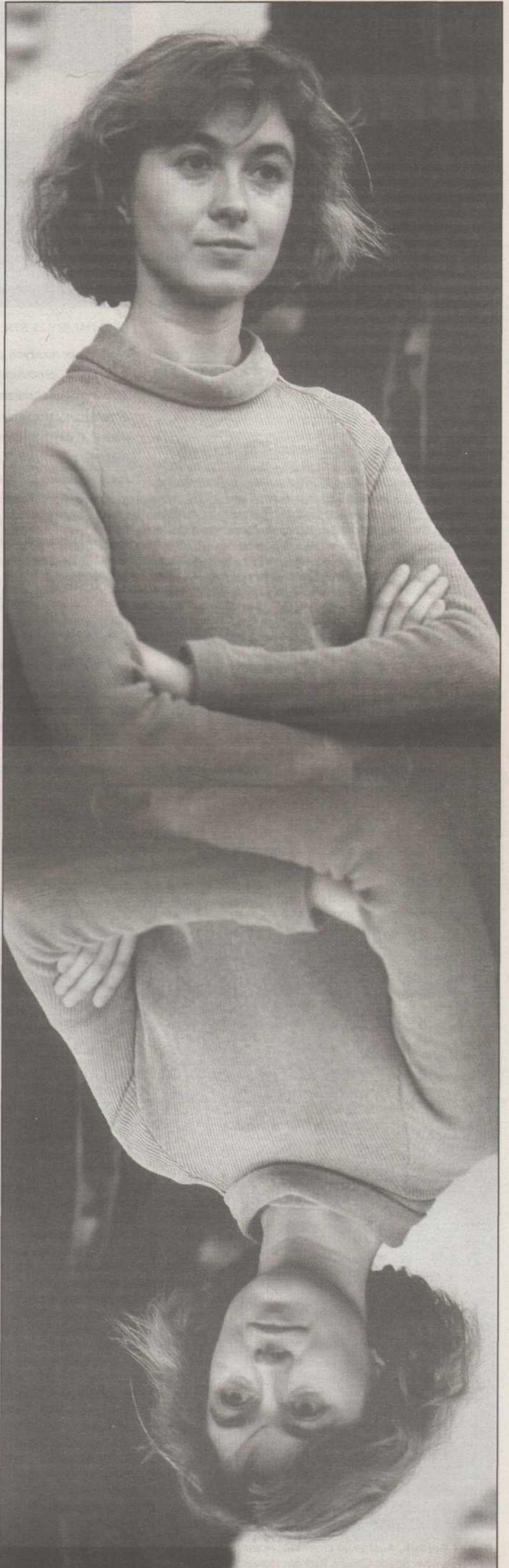
**M. G.** Biografię? Co to jest biografia?

**A. K.** To jest coś, o czym nie piszesz. Przygotowując się do tego spotkania, mając w pamięci prawie wszystko, co o tobie napisano i powiedziano, także to, co sama o sobie mówiłaś pomyślałam sobie: przecież to nie ma sensu. Zadawanie pytań, na które odpowiesz tak samo jak zawsze, jeśli odpowiesz. Właściwie to jestem bardziej po twojej stronie niż po stronie krytyki, której trzeba od czasu do czasu coś rzucić na pożarcie (ale niekoniecznie z – rzucić z siebie). A więc jestem bardziej po twojej stronie, po stronie osoby, która coś zapisuje, robi notatki z rzeczywistości wewnętrznej czy zewnętrznej.

**M. G.** Ale to nie ma nic wspólnego z moimi książkami.

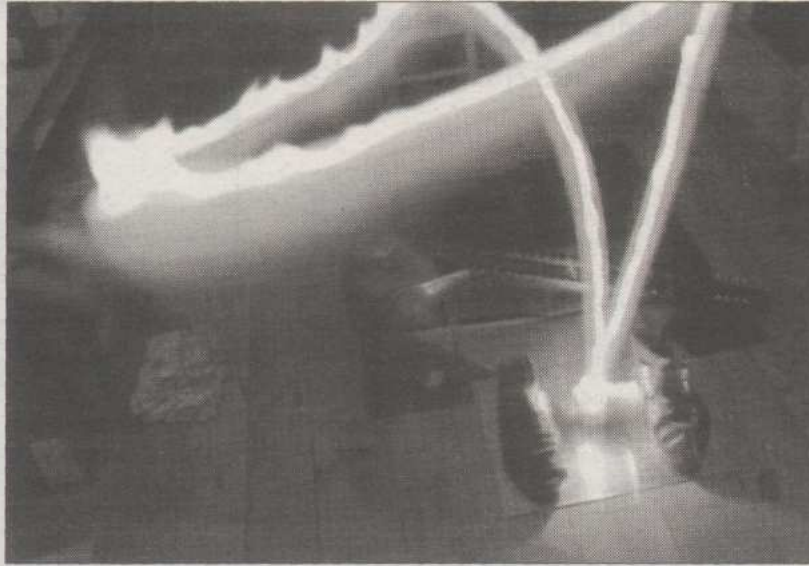
**A. K.** No więc właśnie. Trzeba czytać, a nie umawiać się z autorami na wywiady.

**M. G.** Nigdy nie spotykałam się z żadnymi krytykami. Nie miałam ochoty aż do momentu, gdy spotkałam się z Włodzimierzem Boleckim. Bolecki się wstydził. On się wstydził użyć słowa „literatura”. Ja też bym tego słowa nie użyła. Jeżeli on się wstydził go użyć, to mówię: Nareszcie jest normalnie. Uświadomił mi rzecz, której bym nigdy nie zrozumiała, nie spotkawszy Boleckiego: Krytyk jest terapeutą piszącego (pisarza). Bardzo mało jest terapeutów, tak naprawdę. Woleję narkotyki niż terapeutów – są skuteczniejsze. I on powiedział coś takiego: ty nie możesz być tak oderwana od wszystkiego. To nie może być tak: politykę masz w dupie, społeczeństwo masz w dupie. To nie jest tak. Ja intuicyjnie to czuję. Analizowaliśmy to. Moją fascynacją był Mackiewicz. Strasznie polityczne. Fanatyzm kompletny. I nagle koniec. Z tego się śmieję. Potem było potworne rozczarowanie do wszystkiego. I wtedy pojawia się chęć do zakotwiczenia o wiele mocniejszego. I to jest po pierwsze: myślenie symboliczne. Uważam, że jest to jedyna realność, jedyna wartość, dla której warto żyć – żywa rzeczywistość, łączy mnie ileś tysięcy lat do tyłu. I to jest zakorzenie psychiczne, w dodatku o wiele szersze, bo obejmuje całą kulturę europejską i nie tylko. A po drugie: erotyzm, zakorzenie fizycznie. Tutaj, tak jak w myśleniu symbolicznym, nie możesz kłamać. To jest system logiczny, matematyka; jak zrobisz fałsz, to ci dalej nie pójdzie, koniec. To jest tak naturalne i pierwotne i symbolizm i erotyzm. Ale o tym trzeba mówić nie z krytykami.



Fot. Andrzej Kramarz

# Jan Goślicki Rozpacz zorganizowana



Andrzej Dudek – Dürer

Projekt metafizyczny telepatyczny,  
1991, performance

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Kilka poniższych przekładów z Paula Celana to część trzech „produkcji” poświęconych jego poezji. „Rozpacz zorganizowana” prezentuje teksty literackie jako sui generis organigramy rozpaczliwych wyzwalające energię na potrzeby „radości”. O czym będę miał okazję napisać szerzej, ponieważ niektóre z „produkcji” „Dekada” obiecała drukować. Zaś podczas miejsc Celana w cyklu tłumaczy się tym, że jego dzieło dotyczy wprost treści tłumionych w sposób absolutny – powszechnej i oczywistej odmowy konceptualizacji zagłady Żydów – i że ładunek „rozpaczy” (generującej poezję) jest tu tak wielki, iż wskazuje na literaturę przyszłości, która będzie nieparadystyczna, tj. wróci do Blake’a czy Hölderlina, z którymi, moim zdaniem, Celan jest porównywalny. Z przyjętego przeze mnie punktu widzenia stanowi ono, by tak rzec, Organigram Organigramów.

Przyznaję, że publiczne „wykonywanie” tych tekstów ułatwia moje zadanie tłumacza. Paraliżujące trudności, o których zaraz napiszę, mogę jakoś pokonywać, bo nie jestem skazany na pozostawienie na papierze jednego rozwiązania – im więcej ich wyciągnę z kapelusza, tym lepiej uwidatnia się potencjał wiersza. Ten awanturę staram się spłacić, rygorystycznie wystrzegając się patosu (kiczu) i przedstawiania tej poezji z użyciem kategorii, które ona sama „wycofuje” (por. komentarz).



Marek Sajduk, Austriacki cmentarz wojenny w Zakliczynie, (Kriegsgräber 1914 – 1918 Abteilung Krakau wystawa fotografii i dokumentów, Space Gallery, Kraków, marzec 1995)

## Fuga śmierci

Czarne mleko świtu pijemy je o zmroku  
pijemy je w południe i rano pijemy je w nocy  
pijemy je pijemy  
szpadłem ryjemy grób napowietrzny nie będzie uwierał  
W domu mieszka mężczyzna bawi się węzami pisze  
pisze kiedy się ściemnia do Niemiec Margarete twoje złote włosy  
pisze to i wychodzi przed dom i mrugają gwiazdy gwizdże na swoje ogary do  
gwizdże na swoich Żydów zbiórka każe ryc szpadłem grób w ziemi  
rzuca komendę muzyka do tańca

Czarne mleko świtu pijemy cię w nocy  
pijemy cię rano i w południe pijemy o zmroku  
pijemy cię pijemy  
W domu mieszka mężczyzna bawi się węzami pisze  
pisze kiedy się ściemnia do Niemiec Margarete twoje złote włosy  
Sulamit twoje popiołowe włosy szpadłem ryjemy grób napowietrzny nie będzie  
uwierać

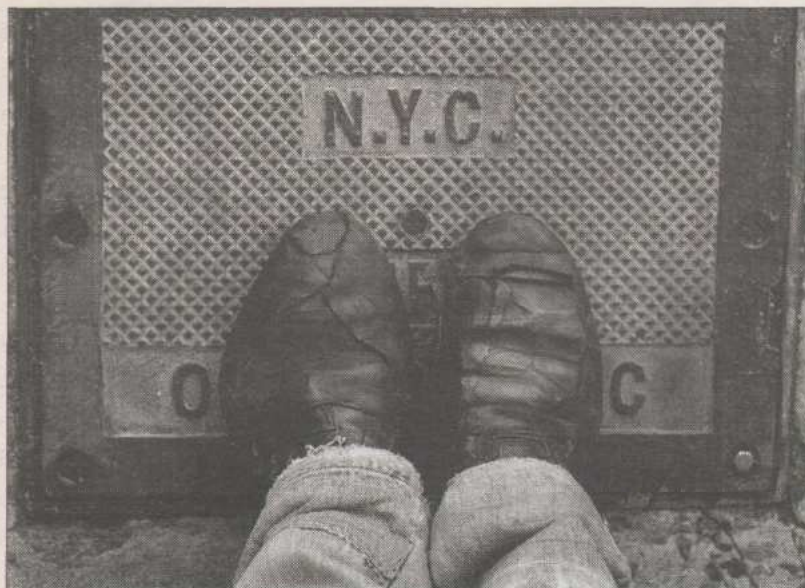
Krzyczy wy ryc mi tu głębiej w ziemi a wy tam śpiewać mi tu i grać  
sięga do pasa wymachuje żelazem oczy ma niebieskie  
wy ryc mi tu głębiej a wy tam grać mi tu dalej do tańca

Czarne mleko świtu pijemy cię w nocy  
pijemy cię w południe i rano pijemy o zmroku  
pijemy cię pijemy  
w domu mieszka mężczyzna Margarete twoje złote włosy  
Sulamit twoje popiołowe włosy bawi się węzami  
krzyczy grać mi tu słodziej tę śmierć a śmierć niemieckim jest majstrem  
krzyczy ciemniej mi tu smyczkiem po strunach a wzniesiecie się dymem  
w powietrze  
a grób dostaniecie w chmurach nie będzie uwierać

Czarne mleko świtu pijemy cię w nocy  
pijemy cię w południe a śmierć niemieckim jest majstrem  
pijemy cię o zmroku i rano pijemy pijemy  
a śmierć niemieckim jest majstrem oko ma niebieskie  
trafia cię kulą z ołowiu wycelowaną jak trzeba  
w domu mieszka mężczyzna Margarete twoje złote włosy  
szczuje nas ogarami daruje nam grób w powietrzu  
bawi się węzami i śni śmierć niemieckim jest majstrem

Margarete twoje złote włosy  
Sulamit twoje popiołowe włosy

Trudno wyobrazić sobie przekład z Celana, który nie wyrządziłby tej poezji więcej szkody niż pożytku. Skalę trudności zapowiada wczesna „Fuga śmierci”, wiersz, który (jeszcze) raczej wskazuje na podstawową intencję poezji Celana niż ją urzeczywistnia. W „Fudze” sny Żydów – oliar zlewają się ze snami kata, grób kopany jest w „królestwie ziemskim” (Erdreich) i w przestworze (w królestwie niebieskim), czas i bezczas znaczą jedno i to samo. Niebywała energia „czarnego mleka świtu” generuje tę alegorię kontaminacji całkowitej, więc obejmującej sygnifikację tout court. Niby jakiś Kant obozów koncentracyjnych, uznawszy zastany „naturalny” pogląd na percepcję za zdystansowany przez doświadczenie ludzkości, ustanawia Celan własne Umkehrung, własną inwersję: kontaminację jako nadrzędną, niezbywalną formę zmysłowości. Oznacza to wycofanie referencyjności znaku językowego i atrybut „bycia” – nie „znaczenia” – dla tekstu. Tę intencję kontynuuje poezja Celana w różnym natężeniu i na różne sposoby. Co momenty najintensywniejszej, najbogatszej lektury oryginału zmienia w piekło dla tłumacza. Piekło polega na tym, że tłumacz ma do czynienia z poetyką „wycofywania” czy też odwoływania języka na każdym poziomie, od figury po syntagmę, morfem, fonem. Słowo jest tu po prostu pars pro toto ulotnienia się sygnifikacji wraz z dymem z kominów, więc czystą negatywnością – wraz z powietrzem wdychamy nie tylko cząsteczki popiołu człowieczego, ale i cząsteczki spopielenych słów. Oczywiście lektura, nawet bardzo skupiona, nie uchwyci ani procentu wszystkich tych „wycofań” (kosmos Celana przypomina język jako langue, zaś lektura nasza musi być skromna jak parole), ale nawet tam, gdzie pewni jesteśmy, że „wycofanie” miało miejsce, ręce opadają, bo jak na przykład przetłumaczyć „wycofanie” kategorii kognitywnej nieobecnej w języku docelowym (rodzajnik zerowy, którego nieobecność tam, gdzie być „powinien”, naprowadza na intencję tekstu – inwersję)?



Andrzej Dudek – Dürer

Sztuka Butów w N. Y. C. 1990, żywa rzeźba  
(Przetrzeń – Forma – Znak, Galeria  
Pryzmat, Kraków, luty/marzec 1995)

## Psalm

Niemand knetet uns wieder aus Erde und Lehm,  
niemand bespricht unsern Staub.  
Niemand.

Gelobt seist du, Niemand.  
Dir zulieb wollen  
wir blühen.  
Dir  
entgegen.

Ein Nichts  
waren wir, sind wir, werden  
wir bleiben, blühend:  
Nichts, die  
Niemandrose.

Mit  
dem Griffel seelenhell,  
dem Staubfaden himmelstwürst,  
der Krone rot  
vom Purpurwort, das wir sangen  
über, o über  
dem Dom.

## Psalm

Nikt nie ulepi nas raz jeszcze z ziemi i z gliny,  
nikt nie zmówi naszych pyłów.  
Nikt.

Chwała Tobie, o Nikt.  
Z miłości do Ciebie chcemy  
kwitnąć.  
Na zderzenie z Tobą.

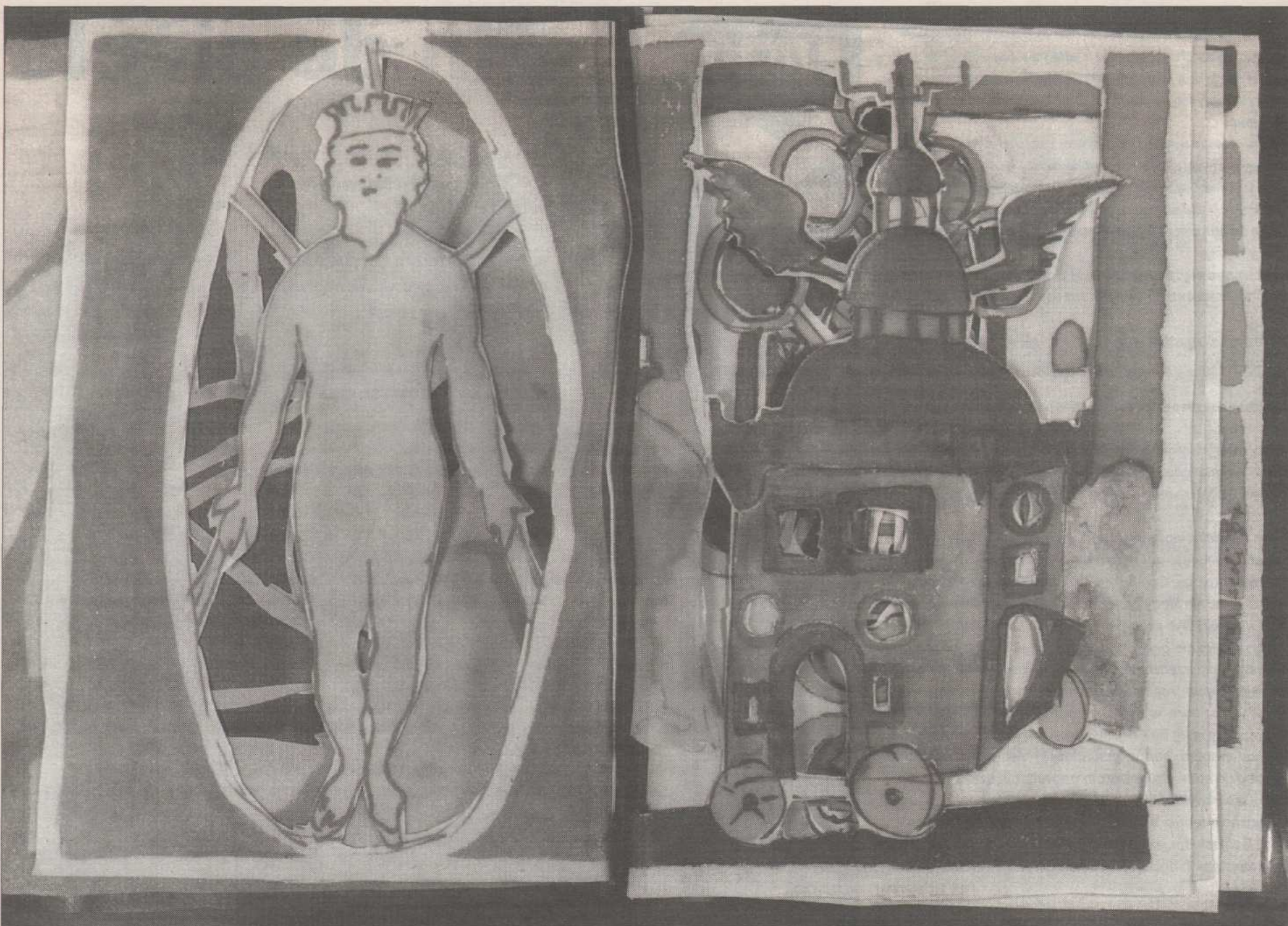
Niczym  
byliśmy, jesteście,  
pozostaniemy, kwitnąć:  
róża Niczego,  
róża Nikogo.

Ze  
stłupkiem jak dusza jasnym,  
z nitką pyłku jałowego jak niebo,  
z koroną nabiegłą czerwienią  
od słowa-purpury, które śpiewaliśmy  
ponad, o ponad  
ciemniem.



AnneMarie Frascoli, Collage

„Psalm”, inny setki razy antologizowany i interpretowany wiersz Celana, znalazł się tu umyślnie i po polsku, i po niemiecku – porównanie obu tekstów wskaże, jak przemożnie ta poetyka wpływa na przekład. Początkowa strofa wymaga zachowania wieloznaczności: pierwsze „Niemand” możemy czytać jako eufemizm w miejsce imienia Boga, jako słowo oznaczające kogoś, kto został nazwany, czy nazywa się, „Nikt”, wreszcie jako nec homo, „żaden”. Pisane małą literą „niemand”, jak też kolejne „Niemand” w tej wieloznaczności uczestniczą. A pośrodku mamy trzecią osobę czasownika „besprechen”, które może znaczyć „wypowiedzieć coś o kimś/ o czymś”, ale może też odnosić się do tchnięcia życia-słowa (Logos, pneuma) w glinę-Adama. Wszystko to razem tworzy potencjał wiersza i przekład nie powinien go osłabiać. Tylko jak to zrobić? (W pierwszym wypadku tłumacze na inne języki mają mniej kłopotów, ponieważ „personne”, czy „no one”, nie wymagają po sobie przeczenia. Po polsku mamy wzór rozwiązania obu kwestii: w jak się zdaje inspirowanym przez „Psalm” wierszu Ficowskiego „5. VIII. 1942”, Korczak „rozdaje dzieciom resztkę zdyszowanego tchu”, a [dzieci] „odtąd ze starym doktorem pełno ich nigdzie”). Dalej: decydująca linia drugiej strofy, owo „entgegen”, które może znaczyć „ku” (= miłość) i „przeciw” (= bunt) Znaczą, rzecz prosta, jedno i drugie naraz. Połowa znanych mi tłumaczy wybrała pierwszą, połowa drugą możliwość. Z innej



AnneMarie Frascoli, Bez tytułu, 1987, akwarela na gumie

beczki: straszliwy „Griffel”, który znaczy równocześnie „rylec” i „słupek” (kwiatu). I tu tłumacze likwidują wieloznaczność, bo co mają zrobić? Wystarczy tych zestawień, żeby ukazała się problematyczność przekładów z Celana, a też horyzont, który muszą wypełnić. Interpretacji „Psalmu” jest nieskończoność; sugestywne, więc teologiczne, mieszczą się w przestrzeni ograniczonej z jednej strony „skontaminowaniem” Boga przez zrównanie go z „nikim” i rozumieniem Shoah jako ofiary na rzecz odkupienia Boga za milczenie w obliczu zagłady, z drugiej zaś ledwie wyrażalnym, katastroficznym i ironicznym konceptem wyzwania rzuconego przez ocalonego poetę, który z Niczego/niczego (znów) ustanawia Boga nie do przyjęcia dla chrześcijaństwa.

#### Pod światło

Serce pozostało ukryte w ciemności i twarde, jak kamień filozoficzny.  
Była wiosna i drzewa wlatywały ku swym ptakom.  
Rozbitą dzban tak długo czerpie wodę, że w końcu studnia wysycha.  
Nie ma sensu mówić o sprawiedliwości, póki największy z krążowników nie zbił się o czaszkę człowieka, którego zwłoki pływały w wodzie.  
Cztery pory roku – i żadnej piątej, żeby móc się zdecydować na jedną z nich.  
Kochał ją tak bardzo, że miłość zdolaby podnieść wieko jego trumny – gdyby tylko kwiat, który na niej położyła, nie był tak ciężki.  
Trwali tak długo w objęciu, że miłość straciła nadzieję.  
Nastal Dzień Sądny i, próbując wytyczyć granicę hańby, przybito krzyż do Chrystusa.  
Pochowaj kwiat, człowieka połóż na grób.  
Godzina zbiegła z zegara, stanęła przed nim i nakazała mu, żeby chodził regularnie.

Kiedy generał złożył u stóp swego pana spływającą krwią głowę buntownika, władca uniósł się dzikim gniewem i zawołał: „Ośmieliłeś się napełnić salę tronową odorem krwi!”. Generał zadrżał.  
Wtedy poruszyły się usta zwyciężonego i popłynęła z nich opowieść o bzie.  
„Za późno”, zauważyli ministrowie.  
Późniejszy kronikarz potwierdza słuszność tej opinii.

Kiedy zdejmowano powieszonoego z szubienicy, jego oczy jeszcze żyły. Kat pospiesznie zamknął mu powieki. Ale otoczenie zdążyło to zauważyć i ze wstydu wszyscy spuścili wzrok.  
Na tę chwilę szubienica uznała się za drzewo, a ponieważ nikt nie patrzył, niemożliwością jest orzec, czy nie była nim rzeczywistość.  
Złożył na wagę swoje cnoty i nieprawości, winę i niewinność, przmioty i wady, bo musiał mieć pewność, zanim odbędzie sąd nad samym sobą. Ale obie tak obciążone szale zostały na równej wysokości.

On jednak pragnął odpowiedzi za wszelką cenę, toteż zamknął oczy i nieskończoną ilość razy obiegił wagę dokoła, raz w jedną, raz w drugą stronę. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy nie mógł już wskazać, na której szali jaki leży ciężar. I wtedy, zamknawszy oczy, na jedną z szal dorzucił swą decyzję odbicia sądu nad samym sobą.

Kiedy znów otworzył oczy, spostrzegł, że jedna z szal przeważała, ale niepodobna było orzec, czy była to szala winy czy niewinności.  
Uniesiony gniewem, wyrzekł się możliwości wytłumaczenia tego, co się stało, na własną korzyść i wydał na siebie sąd potępiający. Ale nie był w stanie odmówić do siebie dostępu uczuciu, które powiadało, że czyniąc tak mógł się pomylić.

Nie tuż się: nie dlatego zrobiło się jaśniej, że ta ostatnia lampa wysyła więcej światła – to ciemność wszędzie wokół jeszcze głębiej zapadła się w siebie.

„Wszystko płynie”: ta myśl też – i czy nie przywraca ona wszystkiemu całkowitej nieruchomości?

Odwróciła się do lustra plecami, bo nie cierpiła próżności luster.

Wykładał prawa grawitacji, przedstawiał dowód po dowodzie, ale to było, jakby mówił do głuchych. Wobec tego uniósł się w powietrze i zaczął nauczać tych praw z lotu. Wtedy mu uwierzono, ale nikt nie był zdziwiony, kiedy nie wrócił.

Ten niewielki, wczesny (1945) zbiorek aforyzmów i parabol w duchu Kafki jest dobrym, o czystym rysunku, wprowadzeniem w poetologię Celana. Za każdym razem język przyrzeka tu jakiś sens, ale kiedy przyrzeczenie ma zostać wyegzekwowane, tj. kiedy język zaczyna wykonywać funkcję performatywną, błyskawicznie osiągną jest punkt, w którym egzekucja unieważnia przyrzeczenie. Tak więc „miłość”, która ma wygenerować pojęcie „zespoleń”, zostaje „doprowadzona do rozpacz” przez swą własną konkretną realizację. „Aforyzm o krzyżu przybitym do Chrystusa wskazuje na to, że świat Celana jest światem hańby absolutnej [mowa o inwersji: krzyż z narzędzia staje się obiektem degradacji, człowiek narzędziem], zaś światło, które nań rzucają, mają te teksty do zawdzięczenia temuż samemu światu: światło jest tu „Gegenlicht”, odbłaskiem, zarazem mrokiem /.../” – powiada jeden z najcenniejszych egzegetów Celana. \*

Jan Gościński

\* por. Werner Hamacher: La seconde de l'inversion. W: CONTRE-JOUR. Études sur Paul Celan, Les Éditions du Cerf, 1986, s.191.



Fot. Paweł Zechenter

Grażyna Borowik, *Znaki identyfikacyjne*, 1993, instalacja (fragment), metal, gips, ptasie pióra, 120x120. (Przestrzeń – Forma – Znak; Galeria Pryzmat, Kraków, luty/marzec 1995)

Josif

BRODSKI

## Fin de siècle

Wiek już się kończy, wcześniej skończę ja. Nie znaczy to przeczuć, ale wpływ niebytu raczej na byt, mówiąc inaczej,

wiek, amator zwierzyny, gdy poluje liczy na mur i mięsień sercowy. Nie milczy, słychać, jak strzela z bicza

wijącego się w rękach, próbuje ustalić imiona ojców, tych co nas kochali. Inny jest świat z oddali,

tamten, gdzie królowały strach, fokstrot, witraże, abażur, tyle dowcipnych wyrażań; któż myślał, że je zmaże,

jak gumką ślad ołówka na kartce papieru, czas? Bo nie żaden człowiek, lecz dopiero czas nieomal bez szmeru

dokonał tego. Nawet go nie próbuj ganić. Teraz anteny wyrastają pniami wszędzie zamiast drzew. Ani

w barze nie spotkasz kumpla ze schyloną głową, który próbuje wznieść się ponad sobą, anioła w szafirową

sukienkę odzianego. A tłum ludzi co dnia w coś w rodzaju kolejki ustawia się zgodnie. Tyran, to już nie zbrodniarz,

lecz miernota. Samochód także się nie liczy  
jako luksus. Właściwie jest niczym:  
wzbija pył na ulicy,

gdzie kula inwalidy na zawsze zamilkła.  
Że pułk wojska mniej straszny od szarego wilka,  
uważa dziecko tylko.

I jakoś coraz częściej wznosząc zamasyście  
chustkę do oczu zapatrzonych w liście,  
na siebie oczywiście  
bierzesz powstałe luki, czasowniki w czasie  
przeszłym i literę „l” również arie ptasie,  
zwłaszcza głos, który zda się

być kukułczym. On teraz brzmi szorstko, nieskładniej  
niż ów Cavaradossi. Coś jak „zgiń, przepadnij”,  
lub „milcz – śpiewasz nieładnie”.

Ręce utrzymać pustej butelki nie mogą.  
Nie ksiądz, nie rabin, ale tuż przed tobą  
fin de siècle staje u progu.

Modna czerń: pończoch, halek, trudno – taka era.  
Kiedy ją z tego wszystkiego rozbierasz,  
stwierdzić musisz rad nierad,

że światło w domu nie ma i trzydziestu watów,  
ale z ust zamiast radosnych wiwatów  
wyrwie się „daj to katu!”

Nowe czasy! Złe czasy! Rzeczy wystawione  
w witrynach, według tego, jak brzmią ich imiona  
mogą być podzielone

na te, z których możecie skorzystać, a także  
te, jakie własna niewiedza wam każe  
uważać za szczyt marzeń

ludzkości (i nie może chyba być inaczej)  
o tym, że zniknie w całej gamie znaczeń  
służalność, albo raczej

o anonimowości. To wynik istotnie  
rozmnażania, którego źródłem niezawodnie  
nie jest Wschód i nie spodnie,

lecz elektryczność. Upływ czasu w końcu wieku  
chce ofiar, ruin i tych z Baalbeku  
mu mało, i człowieka.

Ofiaruj mu uczucia i wspomnienia plus  
myśl – czas ma taki apetyt i gust.  
To relacja, a nie frustracja. Nie jestem tchórzem. Mogę być przedmiotem  
z przeszłości, jeśli zdecydował o tym  
czas, tam i z powrotem

mierzący wzrokiem, albo przez ramię, do tyłu  
mnie – zdobycz, która jakkolwiek by było  
rusza się i w dotyku

jest ciepła. Mogę zostać zasypany piaskiem,  
aby wędrowiec, który tak mnie zastał  
kierując na tę zaspę

oko swojej kamery szukał bezowocnie,  
oszczędził sobie nadmiernych emocji.  
Według mnie nie najmocniej

należy koncentrować na czasie uwagę.  
On niewart tego, jak każda fasada,  
podobny to do sadu,

to znów do partii szachów. W końcu to stulecie  
było niezłe, choć martwych jak i żywych przecież  
był nadmiar na tym świecie,

włączając w to autora tych strof i linijek,  
których nadwyżki można – nim wiek minie –  
w odpowiednim terminie

zamarynować, czy też zrobić z nich ser w ślicznym  
kameratelem wariacie czarnych dziur kosmicznych,  
albo fotograficzne

odbitki strzelić światu – format sześć na dziewięć  
i bez upiększeń wszelkich, mam nadzieję,  
by – jak się zwykle dzieje –

uniknąć nawarstwienia tak, jak w stosie drewna.  
Do końca wieku zdarzy się niejedna  
katastrofa podniebna.

Prof. wznosi, wyjaśniając przyczyny gorąca,  
w kierunku atmosfery, palec wskazujący,  
a nie mówi do końca,

jak trafić tam od punktu do chmury, gdzie chyba  
trafiają nasze „ratuj” „nie męcz” „wybacz”,  
a skutkiem tego bywa,

że promienie na srebro zmieniają swe złoto.  
Lecz wiek gromadzi swój majątek po to,  
by był starością. Oto

na biegunie pies szczeka i flaga łopocze,  
widzą na Wschód z Zachodu skierowane oczy  
płot, barak, gdzie się toczy

ruchliwe życie. Ptaki lasem rąk spłoszone  
wznoszą się, lecą w południową stronę  
gdzie morele suszone,

gdzie tamtamy, turbany i palmowe gaje.  
Gdy widzisz obce rysy, obyczaje,  
oczywistym się staje,

że zbieżność między zwykłą plamą i pejzażem  
polega na tym, że – jak się okaże –  
są w jednym egzemplarzu

raczej niespotykane. Przyroda – jak bard wczoraj –  
docenia kalkę, tak jak mózgi – czoła  
literę, jak rój – pszczoła.

Szczerze ceni zasadę masowości. Strach  
przejawia wobec wyjątków i strat  
energii; dobra straż

to według niej swawola. Zaludniona przestrzeń.  
A tarcie czasu o nią trzeba jeszcze  
zwiększać, nasilać. Wreszcie

powieka się zamyka. Morze wciąż od nowa  
powtarza „fale” „dale” swoją mową,  
jedno i drugie słowo.

Słyszając to chce porzucić ziemię ten, kto orze,  
wsiąść na parowiec, wypłynąć na morze  
nie po to, by otworzyć

sobie świat, gdzie wiatr inny będzie czoło muskał,  
wyspy, roślinność – mogłaby być pustka,  
chodzi głównie o usta.



Fot. Paweł Zechenter

# Igor Kantorowski

## Rodowód

*To nieprawda, że pisanie jest przyjemnością, wsluchiwanie się w ciepłotę melodii wiatru. Że wystarczy słuchać ludzi, chodzić brzegiem morza, być wyrozumiałym dla pijaka. W obskurnej knajpie odnajdować zauroczenie. Kochać się z żoną sąsiada. Odrysować księżyc nocą w parku, na kartce uwiecznionych liter.*

*To pozory. Za nimi kryje się przerażony kundel. Wielorasowość wyzwała w nim tęsknotę do szlacheckiego urodzenia. Tylko nielicznym udaje się sporządzić rodowód istnienia.*

## Bez powodu

*Dzisiaj nie było żadnego powodu, by napisać wiersz. Był tylko drobny deszcz. Wiatr. Spokój domu, wypełniony nami milczącymi. Po tym dniu nie zostało nic. Tylko ten kasztan, przyniesiony przez syna. Usychający teraz na kuchennym stole, w uścisku nocy. Dla niego ten dzień był mową ostatnią, choć los wyniósł go w górę spod drzewa, na dziewiąte piętro bloku. Drzewa skalnego, gdzie siedzimy w lupinach, aż nasz los wypełni się wytuskaniem. Czy ulecimy ponad swoje drzewo?*

## Wyznanie

*Mówię ci, po prostu lubię takie lokale, gdzie życie przemyka chyłkiem w mateczniku szklanek. Ten szmer jak szelest sukni kobiety co opuściła bal. Przed czasem, by zdążyć wyrzucić tzy w pościel niespełnionej nocy.*

*Mówię ci, siedzisz przykuty do krzesła. Latawiec spokoju unosi cię do Patagonii. Przystałeś udawać siebie. Błazen kelner, oszukuje kieliszek. Twoja tolerancja nie ma granic. Jesteś otwarty jak ogród wokół porzuconego domu. Nie masz już żony, dzieci, rat. Żadnych straconych lat. Upiory Szekspira poprzysiadają obok. Wróżą, z rozlanego piwa. Noc trwa tu do niepamięci. Zaczarowany dorożkarz, wypożyczony od Galczyńskiego, odwozi cię do domu. Znowu jesteś bezpieczny. Rano anioł, żona. Podaje ci herbatę z aspiryną. Dzieci nakładają kaptcie. Możesz włączyć telewizor.*

Kornel

FILIPOWICZ

Krystyna R. owdowiała przed trzydziestu trzema laty. Była wtedy jeszcze stosunkowo młodą kobietą, ale drugi raz za męża nie wyszła. Nie tylko dlatego, że musiała zająć się synem, który miał dopiero cztery lata, ale Krystyna R. nie wyobrażała sobie związku z innym mężczyzną. Jej mąż umarł nagle na ciężki zawał, nie chorując przed tym nigdy na serce. Upadł na drodze do samochodu, który stał w odległości kilkudziesięciu metrów od domu – i już się nie podniósł. Padł więc niby żołnierz od zabłąkanej kuli, nie spodziewając się śmierci, i chyba nie przeczuwając jej. Wskutek nagłości jego odejścia, Krystyna nie miała uczucia, że mąż opuścił ją na zawsze. A ponieważ była osobą w trochę dziwny sposób wierzącą, ta chwilowa nieobecność męża z wolna zamieniała się w przekonanie, że prędzej czy później spotkają się w miejscu i chwili, w której ich wspólne życie na ziemi zostało na krótko przerwane. Krystyna R., mając w tej chwili lat blisko siedemdziesiąt, nie robiła wrażenia zaniedbanej staruszki. Nie jadła zup podbitych śmietaną, nie obzerała się ciastkami, jak wiele jej rówieśniczek, wskutek czego zachowała figurę osoby znacznie młodszej. Ktoś, patrząc na nią z daleka, nie dałby jej więcej jak czterdzieści lat. Była nieco wyższa od męża, o jakieś trzy, może cztery centymetry, i dlatego nigdy nie chodziła na wysokich obcasach. Także teraz, nie chcąc być kimś innym, nosiła trzewiki na niskich obcasach. Trzymała się zawsze prosto, ubierała się starannie. Dbała o cerę i włosy. Nie dopuszczała do tego, aby siwizna prześwitowała spod farby.

Być może, że sąsiadki (nikt nie żyje przecież w pustce), znajomi i dalsi krewni – bliskich nie miała – uważali ją za dziwaczkę. Ale ludzie zawsze będą uważali za dziwaków tych, którzy nie są do nich podobni. Przez kilka lat po śmierci męża Krystyna była przedmiotem żywego zainteresowania otoczenia i obiektem życzliwych porad: taka młoda kobieta, życie jeszcze przed panią, a jakby pani, nie daj Boże zachorowała?, sama i to jeszcze z małym dzieckiem wymagającym opieki, to co wtedy? Tak nie można. Ileż to mężczyzn czeka na panią! Tu, może w sąsiedniej kamienicy, może trochę dalej, w Tarnowie albo na Górnym Śląsku, wystarczy tylko podnieść głowę i rozejrzeć się dookoła. Ale ponieważ Krystyna trwała przy swoim wyniosłym wdowieństwie, dano jej po pewnym czasie spokój. Przyzwyczajono się do jej samotnego istnienia.

Co niedzielę chodziła na sumę do kościoła, a po obiedzie jechała z synkiem na cmentarz, jak mawiała, odwiedzić męża i ojca. W te dni poświęcała nieco więcej uwagi niż zwykle swojemu wyglądowi. Przeciągała kredką brwi i różowiła lekko policzki – doprawdy, jakby się wybierała na randkę. Krystyna wychowała więc syna, i aby móc utrzymać swoje, duże, piękne mieszkanie, wynajmowała jeden pokój lokatorom. Potem syn zaczął pracować, a dosyć późno, bo mając trzydzieści osiem lat, ożenił się. Ale, mimo, że dziewczyna była znacznie od niego młodsza, bo dopiero dwa lata po studiach, małżeństwo wydawało się od początku dobre, i Krystyna R. była o jego los spokojna. Syn od dzieciństwa miał dosyć wątłe zdrowie, a jego żona okazała się osobą opiekuńczą. Mieszkali w starym mieszkaniu Krystyny R., prowadzili wspólne gospodarstwo, synowa bardzo dzielnie w domu pomagała. I tak było do niedawna. Ale pół roku temu syn otrzymał za pośrednictwem kolegi ze studiów bardzo korzystną propozycję od pewnej firmy współpracującej przy budowie warszawskiego metra. Pensja – prawie trzy razy wyższa, praca dla synowej zapewniona w tej samej firmie. Jedyłą przeszkodą był brak mieszkania w Warszawie. Firma nie była w stanie im go zapewnić, przynajmniej na razie. Może dopiero po dwóch latach. Pozostawało więc lokum w hotelu pracowniczym, i ewentualne dojeżdżanie co pewien czas na sobotę i niedzielę do domu. Sytuację rozwiązywałyby tylko zamiana mieszkania. Ale za trzy pokoje w Krakowie, z trudem można było dostać dwa w Warszawie. Taka była cena awansu z prowincji do stolicy. Krystyna była w stanie ją zapłacić, dla dobra dzieci. Nie chciała komplikować życia ani im, ani sobie, i postanowiła zostać w Krakowie. Dzięki pośrednikom i dwu a nawet trzystopniowym kombinacjom, z zaangażowaniem wszystkich rezerw pieniężnych, jakie jej zostały po mężu, udało się wygospodarować dla niej pokój z małą kuchenką na dziesiątym piętrze wieżowca na osiedlu położonym osiem kilometrów od centrum – a syn i synowa mogli się przenieść do Warszawy, do dwupokojowego mieszkania. Transakcja doszła do skutku dosyć szybko. Komuś widocznie zależało na pięknym, dużym mieszkaniu w starym budownictwie, w centrum miasta, choć niezbyt trzeba przyznać komfortowym, bo z piecami węglowymi. Ale nowi właściciele byli ludźmi przedsiębiorczymi i mieli chyba kupę pieniędzy, bo zabrali się natychmiast do unowocześniania mieszkania. Krystyna podzieliła się z synem meblami w ten sposób, że sobie zostawiła tylko tapczan, mały okrągły stolik na jednej nóżce, dwa fotele i biurko, które mąż bardzo lubił, i oszkloną szafkę z książkami. Postanowiła zatrzymać jedną szafkę ubraniową. Po co jej było więcej mebli? Zresztą i tak by się nie zmieściły. Wiedeńską jadalnię z wielkim stołem, sześcioma krzesłami, biedermaierowski salonik z czterema fotelikami i kanapką, ściankę z przedpokoju i lustro, i większość sprzętów z kuchni – oddała młodym. Popłakiwała trochę jak wynoszono meble i ładowano do wielkiego żółtego samochodu warszawskiej firmy transportowej. Syn pojechał z meblami do Warszawy, synowa została jeszcze dzień, aby pomóc teściowej urządzić się w nowym mieszkaniu. Było to niewesołe zajęcie. Krystyna R. opuszczała dom, w którym się urodziła i wychowała, i gdzie przeżyła blisko dziesięć lat szczęśliwego małżeństwa. Stary przesąd, znany jej z opowiadań matki, kazał jej zebrać na szufelkę trochę śmieci wygarniętych spod szafy, zawinąć w gazetę, i rozsiać po nowym mieszkaniu. W ten sposób przenosi się na nowe miejsce przynajmniej trochę szczęścia i pomyślności, których zaznała na starych śmieciach. Synowa pomagała jej ustawić meble w taki sposób, że Krystyna R. budząc się widziała przedmioty, które lubił jej mąż: stare, masywne biurko, jeszcze po dziadku, z zielonym, sukienym, poplamionym trochę atramentem blatem, z galerijką i mnóstwem szufladek. Nad biurkiem wisi obraz Fałata, w rogu pokoju stanęła oszklona szafka, w której umieściła przedwojenną encyklopedię Gutenberga, kilka niemieckich i francuskich podręczników technicznych, a na górnej półce trochę starego szkła i porcelany. Krystyna otwierając oczy widziała przedmioty, które stanowiły część ich wspólnego życia, a więc czegoś, co nie tylko było, ale także pozostało i jest. Krystyna wyprawiła syna do Warszawy, a sama, mając czasu pod dostatkiem, bez pośpiechu zajęła się urządzaniem swojego nowego, małego gospodarstwa. Szafkę ubraniową kazała ustawić w przedpokoju, a w kuchni umieściła tylko stolik i półkę na naczynia.

Po prowizorycznym ustawieniu mebli zabrała się do czyszczenia ich i odświeżania. Rozpoczęła od obrazu Fałata, potem odkurzyła książki. Przerywała chwilami pracę i czytała jakieś hasło w encyklopedii, albo rzucała okiem na kolorową ilustrację, wreszcie zajęła się porcelaną i szkłem. Umyła je, wypłukała i bardzo ostrożnie wytarła do sucha. Wśród filiżanek były dwie niezbyt stare, ale bardzo przez męża lubiane. Popijali z nich codziennie kawę po obiedzie. Na koniec zajęła się biurkiem. Wymagało odświeżenia, a nawet fachowego odnowienia. W dawnym, ciemnym mieszkaniu jego starość nie była tak rażąco widoczna, teraz, w bardzo jasnym wnętrzu, na tle białych ścian wyglądało dość żałośnie. Zastanawiała się, czy porządkowanie wnętrza biurka nie odłożyć na później, a najpierw wezwać znajomego stolarza, który chodził po domach i przeprowadzał konserwację mebli na miejscu. Uprzymiła sobie jednak, że prawdę mówiąc nie wie gdzie tego stolarza szukać, że stolarz może już nie żyć, bo od czasu, kiedy pracował u nich w domu, minęło już blisko czterdzieści lat. Żyli przecież wtedy jeszcze rodzice. Na razie odkurzyła biurko powierzchownie i natarła białą pastą, i zajęła się jego wnętrzem, które z wyjątkiem środkowej szuflady, pozostało w takim stanie, w jakim mąż wstał od niego i odszedł. W czasie przeprowadzki synowa radziła opróżnić szuflady i zawartość przełożyć do pudełek, ale robotnicy powiedzieli, że będą nieśli biurko pionowo. Kazał tylko pozamykać szuflady na kluczyki. Zapewnili, że w czasie transportu nawet najmniejszy drobiazg nie zginie. Do dwóch szuflad nie było kluczyków, więc unieruchomili je klinami, i biurko z nienaruszoną zawartością znalazło się na nowym



# Zazdrość



Ilustracja Aleksander Pleniek

**W piątą rocznicę śmierci Kornela Filipowicza postanowiliśmy opublikować jedno z ostatnich Jego opowiadań. Było ono co prawda drukowane w 1. numerze DL, ale „Dekada” stanowiła wówczas lokalny dodatek do „Gazety Krakowskiej”. Sądźmy, że ze względu na wysokie walory literackie prozy Filipowicza należy ją udostępnić możliwie szerokiemu gronu czytelników. „Zazdrość” nie była dotąd publikowana w tomie opowiadań. (red.)**

miejsku. Więc poza środkową szufladą, w której były zawsze ich wspólne pieniądze na bieżące wydatki, i po które musiała sięgnąć przed pogrzebem, i jedną z górnych szuflad, do której po śmierci męża włożyła jakieś wyjęte ze służbowego biurka prospekty i listy firmowe, Krystyna R. nie naruszała zawartości reszty biurka. Nie wiem, jak nazwać to, co ją przed tym powstrzymywało – jakieś tabu? Obawa przed świętokradztwem? Lęk przed wspomnieniami? Ale teraz, wysunąwszy lewą dolną szufladę, stwierdziła z przerażeniem, że jej wewnątrz napelnione jest czymś, co w pomniejszeniu oczywiście, można by porównać z zawartością stojącego na podwórzu pojemnika na śmieci. Szuflada napelniona była odpadkami, i jakąś materią, która była produktem ich rozkładu. Magiczna przeszkoda, która dotąd powstrzymywała ją przed naruszeniem zawartości biurka, przestała działać, i Krystyna postanowiła przerwać niszczycielskie dzieło czasu, ocalić co się jeszcze da. Wysypała zawartość szuflady na rozścieloną na podłodze gazetę i powoli zaczęła wyławiać z kurzu i śmieci to, czego jeszcze mole i korniki nie zniszczyły. Pograżała się w tej pracy z rozpaczliwym smutkiem, potem nawet z czymś w rodzaju ciekawości. Czego tam nie było! Jakieś stare, pożółkłe fotografie, wycinki z gazet, odznaki wojskowe ojca jej męża, epoety dziadka, prawie doszczętnie zjedzone przez mole, zaśniedziałe łuski po wystrzelonych nabojach, drobne, metalowe odłamki przedmiotów niewiadomego pochodzenia i przeznaczenia – i mnóstwo takich rzeczy, które mężczyźni nie wiadomo po co przechowują w szufladach. Potem umyła szufladę gąbką, wysuszyła ją na balkonie, i włożyła do niej z powrotem to co jeszcze zasługiwało na nazwę rzeczy. Najwięcej pracy kosztowała ją szuflada środkowa, którą знаła tylko z brzegu, dokładnie z lewego kąta, gdzie bywały dawniej pieniądze. Reszta – to był skład makulatury: rachunki za czynsze, elektryczność, i gaz sprzed prawie czterdziestu lat. Krystyna przełamując wewnętrzny opór, wyrzuciła to wszystko do śmieci, i zabrała się do lewej szuflady. Były w niej przybory kreślarskie męża, jeszcze z czasów akademickich, jakieś grafiony, cyrkle, linijki i krzywki, których nawet syn nie używał, gdyż uważał je za muzealne zabytki. Krystyna odczyściła je jak umiała, i włożyła z powrotem do szuflady. Dotykały ich przecież ręce męża.

Krystyna czuła się już tego dnia trochę zmęczona. Nie tyle fizycznie, co psychicznie, bo przecież wszystko czego dotykała, miało jakiś związek z ich wspólnym życiem, wspomnieniami, wiedzą o mężu, o jego rodzinie i pochodzeniu. Ale mimo zmęczenia, postanowiła skończyć jednak dzisiaj porządkowanie biurka. Pozostały jej trzy ostatnie, małe górne szufladki. W lewej znalazła kilkanaście przedwojennych monet srebrnych i trochę drobnego bilonu, przywołanego na pamiątkę z zagranicznych podróży. W środkowej, też pustawej, wiedziała co jest: leżała tam wspomniana już paczka znaleziona w jego biurku w „Mostostalu”, którą Krystyna otrzymała od dyrektora biura w jakiś czas po śmierci męża. Paczka przewiązana była na krzyż papierową taśmą, wydawała się nie zawierać nic ważnego. Były tam jakieś prospekty zagranicznych firm budowlanych, obcojęzyczna korespondencja, katalogi. Krystyna zamierzała ją odkurzyć i włożyć z powrotem do szuflady, zahała się nawet, czy nie wyrzucić jej do śmieci, niewiele przecież miała wspólnego z ich domem i życiem – ale papierowa taśma widocznie zetlała, bo paczka rozsypała się w rękach Krystyny. (Jak niewiele brakowało, aby rzecz skończyła się w tym miejscu, i nie było powodu do pisania tej opowieści). Ale jak powiedziałem, paczka rozsypała się, a w środku, między dwoma warstwami druków, prospektów i zagranicznych korespondencji, było coś co obudziło w Krystynie ciekawość, której nie była w stanie opanować. Było to kilkanaście listów w różowych, podłużnych kopertach, adresowanych na biuro męża, ale bez adresu nadawcy. Na odwrocie kopert widniały tylko inicjały: J. M. Krystyna, czując się jak świętokradca, ale nie mogąc się powstrzymać – wyjęła list z koperty. Był to list miłosny, który każda kobieta nieomylnie poznaje, nawet nie czytając. Pisany był równym, wyraźnym pismem, trochę infantylnym i kaligraficznym jak pismo pilnej licealistki. Wszystkie listy podpisane były „twoja Joanna”.

Krystyna R. nie czuła już zmęczenia. Siedziała przy biurku męża i czytała list po liście z umysłem jasnym, ale ogarnięta straszliwym uczuciem zazdrości. W listach, obok wiadomości, że śpiewają w ogrodzie słowiki, że zakwitły jaśminy, powtarzały się słowa „tęsknota”, „oczekiwanie”, „długie dni”, „puste noce”. Ani raz nie zostało powiedziane kogo te słowa mają dotyczyć, ale Krystyna nie miała wątpliwości. Dzięki datom na niektórych listach i pieczętkach pocztowych na kopertach, dosyć łatwo umiejscowiła w czasie początek korespondencji: było to akurat wtedy kiedy była w piątym miesiącu ciąży. Jej mąż wyjeżdżał często na zjazdy, budowy, uroczystości otwarcia jakichś mostów i linii kolejowych. Jego nieobecności w domu, z wyjątkiem wyjazdów zagranicznych, trwały zwykle krótko, dwa, najwyżej trzy dni. Ale czegoż to mężczyzna nie potrafi dokonać w ciągu dwóch dni! Mąż Krystyny od 33 lat już nie żył, ale uczucie zazdrości było tak mocne, jakby nie zależało od istnienia człowieka, który był jej przedmiotem. Dotyczyło przecież uczucia miłości do męża, które nigdy nie umarło. Krystyna bywała czasami zazdrośna o męża, ale były to krótkie przelotne stany, trwały tyle co taniec męża z jakąś kobietą, jakiś podejrzany uśmiech, pochwała czyjejś urody. Powodowały tylko krótkie ułknięcie serca, i miły. Ale to co było między mężem a tą jakąś Joanną trwało – sądząc po listach – dwa a może i trzy lata. Krystyna ogarnięta nieprzytomnym uczuciem zazdrości okazała jednak niebywały spryt i zapal detektywistyczny. Zazdrość jest ciężką chorobą ciała, organów wewnętrznych, serca, wątroby, żołądka, a nawet mięśni i skóry, ale, rzecz dziwna, zdaje się nie naruszać funkcji mózgu. Głowa Krystyny pracowała niebywale jasno i logicznie. Krystyna była gotowa podjąć natychmiastowe działania prowadzące do odkrycia strasznej prawdy. Uruchomić wszystkie możliwe sposoby, rozpocząć poszukiwania, nie licząc się z kosztami. Udać się do adwokata, wynajmując kogoś w roli detektywa, przedsięwziąć nawet dalekie podróże, jeśli to się okaże potrzebne. Ogłaszać w gazetach podstępne inseraty, dotyczące na przykład jakichś fikcyjnych spraw spadkowych, obejmujących dalekich krewnych po kimś, zmarłym bezpotomnie w Ameryce. Nazwisko spadkobiercy kryło się na razie pod literą „M”, ale Krystyna była przekonana, że je odkryje. A przede wszystkim należało przypomnieć sobie, kogo widziała na pogrzebie męża, choć nie bardzo była wtedy przytomna, poznawała tylko najbliższą rodzinę i twarze kolegów i przyjaciół męża. Instynkt mówił jej co prawda, lub gdzieś to słyszała, że kochanki mężów, jeśli w ogóle przychodzą na ich pogrzeby, to trzymają się z dala, i zbliżają się do grobu dopiero jak rodzina opuści cmentarz, ale miała nadzieję dotrzeć pod jakimś pozorem do tych, którzy byli wtedy na pogrzebie i pociągnąć ich za język: może ktoś z nich zauważył wtedy jakąś tajemniczą kobietę, a może nawet znalazł? Ten ostatni pomysł odrzuciła. Minęło przecież tyle lat. Krystyna była jednak przekonana, że prędzej czy później, dzięki wielu drobnym informacjom uda jej się tę jakąś Joannę (Krystyna dopuszczała nawet możliwość, że imię mogło być tylko pseudonimem) w zastawione sieci złowić.

Ale całe to, zakrojone na szeroką skalę przedsięwzięcie, które jak o nim myślała, coraz bardziej się rozrastało – okazało się zupełnie niepotrzebne. Wystarczyło bowiem tylko sięgnąć do małej, skórzanej teczki, którą jej oddano po daremnych próbach reanimacji męża w szpitalu, wraz z dokumentami osobistymi, prawem jazdy i portfelem. Mąż zabierał tę teczkę stale do biura i Krystyna wiedziała co w niej jest, ale nigdy się jej zawartością nie interesowała. Wiedziała tylko, że wśród tabel kalkulacyjnych, staromodnego suwaka logarytmicznego, bieżących notatek i terminarza, był tam także nieduży, ściągnięty gumką notes z adresami i telefonami, chyba tylko służbowymi, bo druga obszerna książka adresowa, była zawsze w domu. Teczka, od czasu śmierci męża, leżała na dnie szafy z ubraniami. Krystyna wyjęła teczkę i otworzyła ją. W notesie, pod literą „M”, Mąż zapisał adres: J. M., Łąkowa 57. Jakżeż mężczyźni bywają naiwni i nieostrożni.

Postanowiwszy ani chwili nie zwlekać, tego samego jeszcze popołudnia, dosyć starannie ubrana, uczesana, z włosami ułożonymi i skropionymi lakierem, z lekko ożywionymi różem policzkami, przysposobiona w ten sposób do rozprawy z rywalką, uzbrojona nawet w parasolkę (zresztą pogoda była niepewna), jechała tramwajem dwanaście kilometrów, na drugi koniec miasta. Była tam kiedyś wieś, ale dosyć dawno temu została włączona już do miasta, i ulica na planie istniała. Krystyna od dzieciństwa nigdy w tej części miasta nie była, a teraz jechała brudnym zatłoczonym tramwajem, trzymając się kurczowo rączki zwisającej z sufitu, potrącana przez wsiadających i wysiadających, lekceważona przez młodszych od niej, siedzących i nie ustępujących jej miejsca. Nie miała o to do nich pretensji, nie myślała o tym. Nie zdawała sobie też sprawy z tego, że ludzie jadący dookoła niej, też mają swoje zmartwienia. Być może dziewczyna, siedząca na kolanach chłopca i udająca zakochaną, wiezie w torebce ulotki? Że student z twarzą smutną, jakby nawet tragiczną ze skrzącymi pod pachą, wraca ze szkoły muzycznej w ciężkiej rozpacz, bo dowiedział się, że nie będzie nigdy Konstantym Kulką, nie mówiąc już o Jaszy Hajfecu, bo instrument, na którym chce grać, jest bardzo czuły nawet na ćwierćtony, a jego słuch pozostawia niestety wiele do życzenia. Więc lepiej, żeby zajął się grą na akordeonie? A ten ponury facet, z pobrużdżoną twarzą – kim jest? Magazynierem, przeciwko któremu toczy się śledztwo z powodu braków w czasie inwentaryzacji? Czy wraca ze szpitala od śmiertelnie chorej żony? Czy te dwie milczące dziewczyny mają swoje radości i smutki już za sobą – czy to wszystko najgorsze i najlepsze jest jeszcze przed nimi? Ale to, co opanowało Krystynę, było nieporównywalne z niczym, co przeżywali inni ludzie. Było o wiele silniejsze niż ich ambicje życiowe, o wiele głębsze od ich zawodów, lęków, upokorzeń, gdyż dotyczyło jej samej. Krystyny, a nie tamtych ludzi. Cóż ją mogli obchodzić inni ludzie? Co mogli wiedzieć o jej nieszczęściu? Czuła się jak w obcym kraju, wśród ludzi innej wiary, języka, obyczajów.



Konstanty Gaszyński (1809-66) **Gość Czeczeńca**

## Kronika Kulturalna

Kiedy Car świat podestał pod stopy,  
Gdy król każdy tam czołga i klęka –  
Jest lud dziki z daleka Europy,  
Co się carskiej potęgi nie lęka.

Co rok w Gruzji Car wojska swe traci,  
A Gruzyczyk mu niesie podarek:  
Haracz strzałą zatrutą mu płaci  
W hołdzie, kule posyła z janczarek. –

Bo w tym kraju zakrytym skałami,  
Góral wolność jak matkę miłuje,  
I nie wierząc w stosunki z dworami,  
Szablą tylko, nie piórem wojuje. –

\*\*\*

Niezbyt dawno – wieczorną raz dobą,  
Śród skał Gruzji, do chaty Czeczeńca  
Trzej synowie przywiedli ze sobą  
Nieznanego, obcego młodzieńca. –

Gość przybyły wybladłe miał lice,  
Smutek z dumą wyglądał mu z czoła,  
Ale duże, błękitne źrenice  
Połyskały słodyczą aniola!

W chacie siedział Czeczeniec na ławie,  
Patrząc w gościa, co przybył z synami –  
Poglądało w przychodnia ciekawie  
Młode dziewczę z czarnymi oczami. –

I gospodarz przemówił do niego:  
„Cudzoziemcze, przybyły z daleka,  
Bądź pozdrowion u progu mego,  
Pod mym dachem gościnność cię czeka. –

Wolny góral, choć z dala od świata,  
Mieszka w chacie jak orzeł na skale;  
Lecz przychodnia przyjmuje jak brata,  
Bo gościnność szanują górale. –

Ja ci konia i strzelbę dam moją,  
Starszy syn doda prochu i kuli,  
Młodszy, z życiem cię naszym oswoją,  
A ma córka cię piosnką rozczuli.

Jakikolwiek cię zamiar przywodzi,  
Jakikolwiek twój naród i wiara,  
Bratem moim kto w progi me wchodzi,  
Choćby nawet służalcem był Cara”.

\*\*\*

Ogień wybiegł na lice młodzieńca,  
Oczy, duszy zabyły obrazem,  
I ściskając prawicę Czeczeńca  
Odpowiedział mu takim wyrazem:

„Synem jestem krainy dalekiej –  
Inny ród mój, obyczaj i wiara,  
Lecz nas serca złączyły na wieki  
Bom i ja przysięgł zemstę na Cara. –

Car rujnuje mych ojców świątynie,  
Krwi i łzie mej ojczyzny urąga,  
Memi braćmi zaludnia pustynie,  
Lub w kopalniach do taczek zaprzęga.

Lecz co sroższą dziś żałość w nas nieci,  
Na co wolna oburza się dusza –  
Matkom naszym wydziera ich dzieci,  
I na katów się zmieniać przymusza. –

I mnie ukaz oprawcy wyrzekli,  
Gwałtem w mundur moskiewski ubrali  
Tysiąc mił tu w kajdanach przywlekli  
I Czeczeńców zabijać kazali. –

Lecz uszedłem spod straży carowiił  
Polak jestem, mą rozpacz wam głoszę,  
I człek wolny – wolnemu ludowi  
Moje ramię w ofierze przynoszę. –

Przyjmcie dzięki za waszą uczynność,  
Los wygnańca oceniać umiecie  
Oby taką znaleźli gościnność  
Bracia moi – tulacze po świecie!”

\*\*\*

Odtąd Polak był bratem górali –  
Z niemi trudy podzielał rolnicze,  
Razem w górach gromili Moskali,  
Razem w chatę znosili zdobycze.

Słynne z wdzięku i głosu Gruzjanki –  
Co dzień Polak ich piosnką się bawił,  
Lecz nie wybrał w ich gronie kochanki,  
Bo kochankę – ojczyźnie zostawił.

Pięknie delja czeczeńska utkana,  
Piękne pióro im splywa z kołpaka,  
Lecz obcego nie przywdział turbana,  
Bo strój obcy pohańbia Polaka!

Avignon, 1833

(Poezje Konstantego Gaszyńskiego. Wydanie zupełne,  
Lipsk 1868, BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH tom LII.)

**Kriegsgräber**

Wędrując po Małopolsce odnajdujemy często, zapomniane, czasem zarośnięte lasem cmentarze z obco brzmiącymi nazwiskami, o ciekawej architekturze, nierzadko z doskonałą rzeźbą nie uświadamiając sobie na ogół jak wielkiego przedsięwzięcia są one częścią. Są one bowiem efektem dość niezwykłym akcją będącej w zamysle ogromnym, propagandowym oddaniem czci bohaterom I Wojny Światowej toczącej się z niezwykłą intensywnością, zwłaszcza na terenach dawnej Galicji.

Akcja ta miała swój główny ośrodek w Krakowie, gdzie powołano tzw. Kriegsgräber Abteilung Krakau. „Przedsiębiorstwo” to, w krótkim stosunkowo czasie zbudowało ponad czterysta cmentarzy w warunkach wojny i poważnych ograniczeń.

Każda wojna jest brudna i straszna, również ta sprzed osiemdziesięciu lat, mimo że nie budzi już takich emocji jak te bliższe nam w czasie. Możliwe że właśnie ten dystans czasu jaki upłynął pozwala na refleksję nad przedsięwzięciem, które mając w zamysle niezbyt szlachetny cel propagandowy, dzięki zbiegowi okoliczności przerodziło się w coś co daleko ten cel przerosło. Stało się to dzięki zaangażowaniu w dzieło budowy cmentarzy wielu wybitnych artystów z wielu dziedzin. Architekci, rzeźbiarze, malarze, graficy, projektanci ogrodów a także poeci tworzyli dzieła zadziwiające swoją skalą i jakością, a musimy przy tym pamiętać, że tworzyli oni w czasach pogardy. Zwykle się mówi, że gdzie huczą działa tam milkną muzy. Być może na tym głównie polega niezwykłość tego zjawiska, że oto podczas straszliwej wojny, niejako na jej glebie wyrosła sztuka, smutna co prawda bo cmentarna, ale przecież autentyczna, na przekór pogardzie, na przekór złu.

Jestem przekonany że oprócz niewątpliwych wartości tych cmentarzy jako zjawiska ciekawego dla historii czy historii sztuki oraz wzbogacającego krajobraz, istnieje jeszcze wartość skłaniająca do snucia refleksji dotyczących nader aktualnych i bolesnych zjawisk współczesnego świata targanego wciąż wojnami i konfliktami nawet w sercu dumnej Europy. Czy zatem historia rzeczywiście uczy nas ludzi czegokolwiek. Czy wyciągnięto jakiegokolwiek wnioski i świat stał się lepszy? Wnioski niewątpliwie wyciągamy z wojen, niestety dotyczą one głównie doskonalenia sposobów zabijania.

Marek Sajduk

„Kriegsgräber 1914–1918 Abteilung Krakau” – wystawa fotografii i dokumentów, Space Gallery, Kraków, Autorzy: Marek Sajduk – fotografie, Paweł Pencakowski – teksty i reprodukcje, marzec 1995.

**Przestrzeń – Forma – Znak**

W galerii „Pryzmat” działającej przy Okręgu Krakowskim ZPAP otwarto 20 lutego 1995 roku wystawę siedmiu autorów zat. „Przestrzeń – Forma – Znak” charakteryzującą się multimedialnym zestawem prac będących efektem uprawiania różnego rodzaju dyscyplin artystycznych, od konwencjonalnie rozumianego malarstwa, rzeźby i rysunku po aranżacje przestrzenne, instalacje, video, performance.

Autorzy ekspozycji: Grażyna Borowik, Andrzej Dudek-Dürer, Aleksander Fraj, Sławomir Hapoński, Piotr Kmieć, Maria Moroz i Paul C. Stolte stworzyli wystawę o uzupełniających się częściach składowych, będącą jak gdyby pełnią eklektycznych możliwości, tak ze względu na wymieszanie media, jak i ze względu na różnicowaną stylistykę dzieł.

Wystawie towarzyszy dobrze opracowany katalog z kolorowymi reprodukcjami prac oraz z tekstami teoretycznymi i rozważaniami na temat filozoficznych aspektów tworzenia oraz penetracji struktury języka sztuki.

W jednym z tekstów autor Antoni Szoska używa pojęcia „aletheia” o źródłowym (greckim) znaczeniu: to co „nieskrywane”, we współczesnej wykładni Martina Heideggera rozumiane jako „nieskrytość”.

W tym pojęciu odnajduję klucz do interpretacji dzieł poszczególnych autorów zaaranżowanych w przestrzeni galerii, zróżnicowanych formalnie i mających w sobie jakieś ukryte znaczenia – znaki.

Najbardziej dostępne i zrozumiałe na wystawie, a zarazem najbardziej konwencjonalne, są prace rysunkowe Piotra Kmiecia i malarskie Paula C. Stolte. Pozostała piątka artystów stworzyła instalacje przestrzenne lub dzieła z pogranicza przedmiotu i rzeczy konkretnej wziętej z rzeczywistości, których odmienne kody znaczeniowe są wyraźnie trudniejsze do wytropienia i skuteczną metodą byłoby tu zawierzenie własnej intuicji i metaforycznym skojarzeniom.

Instalacja świetlna Grażyny Borowik zat. „Błękitna rapsodia” oraz przestrzenna aranżacja z pleksi i bambusowych patyków zat. „Laguna” wydają mi się tworzyć szczyt najbardziej wyrafinowany w swoim rodzaju i nieodgadniony.

Stanisław Tabisz

„Przestrzeń – Forma – Znak”, Galeria Pryzmat Związku Polskich Artystów Plastyków w Krakowie, ul. Łobzowska 3, marzec 1995.

**Małe obrazki**

9 stycznia 1995 roku w Galerii z Rączką Marka Groszego przy ul. Sławkowskiej 13-15 odbył się wernisaż wystawy malarstwa zat. „Obrazki” autorstwa Ewy Mańkowskiej, Andrzeja Niedoby i Stanisława Tabisza.

Na otwarciu wystawy przybyło liczne grono osób, przyjaciół, wielu artystów, miłośników i kolekcjonerów dzieł sztuki wśród których rozpoznać można było Leszka Wajdę, Juliusza Joniaka, Zbysława M. Maciejewskiego, Stanisława Rodzińskiego, Leszka Misiaka – profesorów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przybyli również: Jerzy Woźniowski – prezes Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków oraz Leszek Dutka – prezesa Klubu Malarzy przy Okręgu Krakowskim ZPAP.

Wystawa „Obrazki” trwała do 5 lutego 95 i cieszyła się powodzeniem zwłaszcza wśród młodzieży, co uznać można za dydaktyczny i popularyzatorski sukces tej specyficznej, kameralnej ekspozycji. Porównując dzieła trójki artystów – różniące się od siebie tak pod względem stylu, formy jak też wizji artystycznej – podkreślić należy, iż małe, wymagające bliskiego kontaktu, obrazki na płótnie i papierze mają szczególną urodę i są chętnie oglądane i kupowane przez ludzi o różnych zapachowaniach na sztukę.

Galeria z Rączką wydała folder z notami biograficznymi artystów, z kolorowymi reprodukcjami obrazów oraz z krótkim tekstem wprowadzającym Stanisława Tabisza, w którym artysta napisał: „... Nasza wystawa jest chyba takim utopijnym przejawem wiary w piękno, czystość i bezinteresowność sztuki. Chcielibyśmy pokazać publiczności kilka tych kameralnych, a może nawet intymnych chwil samotnego skupienia, które zmateriałizowane w malowidłach i rysunkach wyrażają być może tylko nasze osobiste odczucia, lęki, fobie, pragnienia, zachwyty i wyznawane przez nas wartości...”

meo



Stanisław Tabisz, *Narodziny bólu i okrucieństwa*, 1992, akryl na płótnie, 80x100  
(Obrazki, Galeria z Rączką, Kraków, styczeń 1995)





Reformator mógłby dziś być sztuką o dewian-  
 Rcie idei. Szczerze mówiąc dosyć oczywistą.  
 Tymczasem Reformator Mykoły Kulisza w krakow-  
 skim Starym Teatrze jest nie tylko poetycką opo-  
 wieścią o ofierze własnej demagogii, ale i o umie-  
 raniu świata udręczonego przez idee. Historia Ma-  
 łachija Stakanczyka, listonosza, który dekretami  
 pragnął zreformować człowieka tak, by stał się on  
 godny rewolucyjnych przemian, wydaje się dzisiaj,  
 z perspektywy prawie siedemdziesięciu lat, które  
 upłynęły od czasu napisania utworu, zbyt prosta i  
 naiwna. Stakanczyka nie ukąsił przecież Hegel.  
 Stakanczyk czytał tylko Biblię i, jak sądzę, rozpo-  
 rządzenia miejscowej sowieckiej władzy. Nie za-  
 mordował milionów, opuścił tylko żonę i córki, aby  
 zrealizować swe marzenie o „błękitnej dali socjali-  
 zmu”. Podejrzewam, że wierzył w zbawczą moc  
 owej idei i że odczuwał chwalebny potrzebę zgod-  
 ności głoszonych idei z rzeczywistością. Z żarliwo-  
 ścią ideologicznego neofity pragnął czynić cuda,  
 więc nie zauważył, że swoimi frazesami o nowym  
 człowieku rani, niszczy, kłamie i zabija. Ten domo-  
 rosty Nietzsche z Charkowa, pewny, że niebo jest  
 puste, szuka świętości. Wymyśla nową liturgię, na-  
 maszczając się błotem „w imię rewolucji na naro-  
 dowego komisarza ludowego”. Chce być „pomaza-  
 ncem ludu”, pomazańcem rewolucji. Opluty  
 przez lud, osądzony przez komisarzy ludowych,  
 głosi swoją dobrą nowinę wariatom i prostytutkom.  
 Spod cerkwi, z piekła kancelarii Rady Komisarzy  
 Ludowych, przenosi się do burdelu, gdzie niezło-  
 mnie szerzy ewangelię „remontu człowieka”. Staje  
 się szalonym Chrystusem rewolucji, obojętnym na  
 los swojego dziecka.

Prorok nowych czasów kocha bowiem masy,  
 nie poszczególne istnienie ludzkie. Jego idee ogar-  
 niają wszystkich, a pojedynczy człowiek to tylko  
 preparat, materiał doświadczalny. Więc córka wy-  
 daje mu się istotą małej wiary. Jej samobójstwo to  
 cena, jaką płaci za spotkanie z „wielkimi ide-  
 ami”. Gdy prorok cierpi nad niedoskonałością ludz-  
 kiej istoty, nad ciałem jego córki modli się pątnicz-  
 ka Agapia, jedyna, która ma odwagę okazać mi-  
 łosierdzie. Agapia szukała na ulicach Charkowa ko-  
 goś, kto ukazałby jej drogę do Jeruzalemu. Marzy-  
 ła jej się śmierć pełna godności i szczęścia; speł-  
 nić się miało choć jedno jej pragnienie. Agapia nie  
 pasuje do nowych czasów nie tylko dlatego, że

zmierza do Jeruzalem, ale dlatego, że zachowała  
 zdolność współczucia.

Przedstawienie wyreżyserowane przez Rudolfa  
 Ziolo nie jest tylko sądem nad doktrynerem i skom-  
 promitowaną ideą. Na szczęście dotyka także  
 spraw nieco innych. W Reformatorze Ziolo tyleż  
 ważny jest Reformator-Demagog (Jerzy Treła), co  
 zagubiona w świecie pątniczka Agapia (Anna Dym-  
 na). Szaleństwu demagogii przeciwstawia się pa-  
 mięć o świecie, w którym istniał porządek i szacun-  
 nek. O niego walczy żona, sąsiad, dziecko, także  
 – prostytutka.

Najbardziej podobała mi się w spektaklu uwaga  
 i współczucie, jakimi obdarzeni zostali mali, szarzy,  
 zmienieli przez życie ludzie. Współczucie i uwaga  
 należą im się nawet wówczas, gdy ich szarość ma  
 w sobie rezygnację i płaskość, jest równoznaczna  
 z zaniechaniem oporu. Realizatorzy obejmują ich  
 litością i zrozumieniem nawet wówczas, gdy anali-  
 zują szerzoną przez nich zarazę demagogii.

Wypełniony dziesiątkami drobnych scen spektakl  
 ogarnia współczującą refleksją ludzi – ofiary czasu,  
 ludzi, którzy swój czas zniszczyli, zmarowali. Taką  
 ofiarą jest Kum (Zbigniew Kosowski). Ceni Najpro-  
 stsze prawdy; zawzięty, prymitywny, solidny i lojal-  
 ny wciąż chce ratować kuma-Reformatora, aż do  
 chwili, gdy wreszcie pojmie, że przegrał ostatecz-  
 nie, że już na zawsze będzie sam. Ofiarą świata jest  
 żona reformatora, Tarasowna Stakanczyk. Agnie-  
 szka Mandat gra krzykliwą, mało pociągającą babę,  
 wrzaskiem odganiającą nieszczęście. Cichnie gdy  
 wspomina, gdy mówi o swym opuszczeniu słowa  
 śmieszne i bolesne. Luba, jej córka (Ewa Kaim), de-  
 likatna i zastrachana, zdaje się tylko cieniem Kuma,  
 gdy oto nagle zdobywa się na determinację nie-  
 dziewczęcą zgoła. Tym straszniejsza jest dla niej  
 świadomość daremności ofiary. Wreszcie Ola Aldo-  
 ny Grochal i Sanitariusz (Krzysztof Globisz) cierpią  
 i zamieniają swoją miłosną rozpacz w jakąś brutal-  
 ną, złą siłę. Wymienić można by jeszcze szereg po-  
 staci trzeciego i czwartego planu. Robotnika Roma-  
 na Gancarczyka, pensjonariuszki domu schadzek:  
 Magdę Jarosz, Iwonę Budner, Urszulę Kiebzak „  
 każda z nich nosi w sobie inny rodzaj rozpacz, re-  
 zygacji, beznadziejności. Wydobywając drama-  
 tyzm z codzienności reżyser nie utracił tempa  
 przedstawienia.

Małgorzata Ruda

# Reformator

To cena za uważne spojrzenie, którym obdarzo-  
 no wszystkie postacie: zaaferowanych przecho-  
 dniów, gapiów, głodne prostytutki, ciekawych są-  
 siadów, pretensjonalną burdelmame, przestraszo-  
 nego klienta zamtuza, katowanych chorych z zakła-  
 du psychiatrycznego. Wszyscy oni zatrzymują na  
 sobie wzrok. Każdy ma swoją własną historię. To  
 historia zniszczonego życia, które miało prawo być  
 piękne. Stąd drobiazgową precyzją i czułością, z ja-  
 ką reżyser, aktorzy i scenograf budują wewnętr-  
 zną biografię każdej postaci. Udaje się pokazać, jak  
 ten bezsilny i beznadziejny świat walczy o resztkę  
 dobra, resztkę normalności.

Rola Treli – Reformatora oczywiście decyduje o  
 sensie spektaklu. Aktor bardzo wyraźnie broni po-  
 staci, ukazując nie tylko jej zacządenie ideą, ale i  
 rozpacz człowieka nie umiejącego porozumieć się  
 ze światem, nie potrafiącego odnaleźć sensu w  
 otaczającym go chaosie. Stąd jego pragnienie na-  
 prawy. Kiedy opuszcza dom, pełen jest euforii, ra-  
 dosnej energii kogoś, przed kim nareszcie otwiera  
 się droga, przestrzeń, wolność. Wydaje się, że nie  
 ma żadnych wątpliwości, kiedy demaskuje rodzin-  
 ne inscenizacje i rytuały, które mają go jedynie  
 uwięzić. Ale kiedy chór sąsiadów intonuje pieśń  
 Błogosławieństwo pokoju, ten kruchy, rozbity dom  
 napelnia się świętością wspomnień. Znika jego po-  
 kracznosc i groteskowość. U progu podróży Refor-  
 mator zdradza się z miłością do tego świata, które-  
 go się wyrzekł, przekonany, że pisana jest mu wiel-  
 ka rola odnowiciela idei.

Trela znakomicie gra zatrucie władzą: ton, gest w  
 scenach spotkania z dzierżącymi władzę sekretarza-  
 mi świadczą dobitnie, że zdolny z niego uczeń apar-  
 atczyków, pojęty imitator czerwonych dostojników.  
 Mógłby stanowić dla nich zagrożenie, tak władczo,  
 przekonywująco i bez wysiłku deklamuje przemówie-  
 nie o potrzebie nowego człowieka i reform.

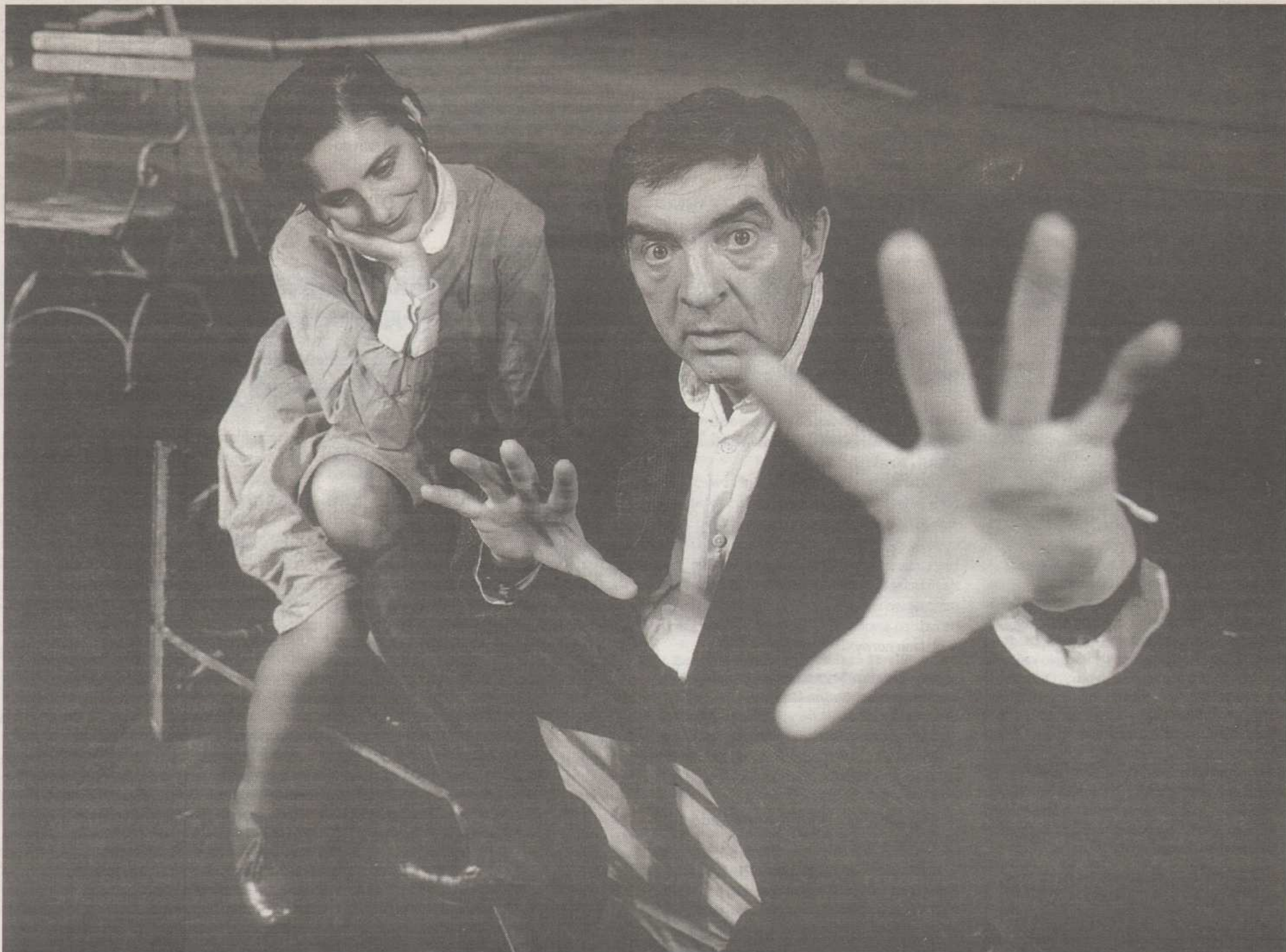
Małachij Stakanczyk Treli jest nawiedzonym pro-  
 staczkiem i kandydatem na wysoki urząd w nowym  
 państwie, ale rozdarcie między tym, co stanowiło  
 dla niego wartość w dawnym świecie, w domu, a  
 tym, co duch propagandy sowieckiej każe mu na  
 przycerkiewnym placu głosić, jest znamię tak  
 silnym, że ludowi komisarze nigdy nie uznają go za  
 swojego człowieka. W listonoszu-proroku pozostaje  
 jakieś kalekie pragnienie dobra; chce je on ofiaro-  
 wać nawet tym, których uważa jedynie za rzeczowy  
 dowód słuszności swoich idei. Kiedy sam staje  
 się wysmianym, ukrzyżowanym Chrystusem, ma się  
 wrażenie, że pojmuje ofiarę córki. Składa jakieś  
 półprzymotne wyznanie winy. Szantażuje krzyżem i  
 równocześnie go dźwiga.

Spektakl zaczyna się od jawnie teatralnego wej-  
 ścia muzyków z widowni. Zaczyna się jak koncert  
 jęk muzyki na przemian z modlitewnym szepem  
 pątniczki Agapii od początku naznacza tę opowieść  
 piętnem smutku i rozpacz. Ale Agapia nie dojdzie  
 do Jeruzalemu, nie znajdzie grobu Chrystusa.

Dramat wchłania muzyków. W finale przedstawie-  
 nia już nie „opowiadają” historii Reformatora. Stop-  
 niowo degradowani, stają się jej współuczestnikami.  
 Grają w burdelu dla dziwek i nowej władzy.

Reformator rozgrywa się w dekoracjach dziwnie  
 przypominających wciąż remontowany Kraków. To  
 mgliste podobieństwo oparkanowanych zaułków i  
 zasłoniętych fasad zaskakuje i dręczy. Dręczy  
 czymś więcej niż zwykła zbieżność pejzażu. Bra-  
 kiem nadziei?

**Mykoła Kulisz, Reformator.** Przekład **Stani-  
 sław Edward Bury.** Reżyseria: **Rudolf Ziolo.** Sce-  
 nografia: **Andrzej Witkowski.** Muzyka: **Stanisław  
 Radwan.** Stary Teatr, premiera 7. 01. 1995.



Aldona Grochal i Jerzy Treła w sztuce Mykoły Kulisza *Reformator*



# WSiP

## WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE

00-950 WARSZAWA,  
Plac Dąbrowskiego 8,  
tel. 26-54-51 (centrala),  
fax 27-92-80, telex 816132 WSiP pl.

ZAPRASZAMY  
DO KSIĘGARNI FIRMOWYCH

w WARSZAWIE  
ul. Kredytowa 9, pl. Dąbrowskiego 8,  
tel. 26-54-51 w. 170,  
26-75-70, 26-01-76

w KRAKOWIE  
ul. Sławkowska 11,  
Księgarnia Literacka, tel. 22-47-73

**Dział Marketingu**  
00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3  
tel. 628-24-91 wewn. 246, 283;  
tel/fax 628-95-73

**Dział Akwizycji,**  
**Kiermaszy i Wysyłki WSiP**  
00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3  
tel. 628-24-91 wewn. 230, 214

**Hurtownia WSiP**  
04-186 Warszawa, ul. Grochowska 21  
tel. 610-69-06; tel/fax 610-67-95



### Liliana Trzebska

## Z dziejów Rosji do roku 1917

Książka zawiera zwięzły wykład historyczny o Rosji od zarania jej dziejów do roku 1917. Uwzględniono w nim najważniejsze wydarzenia polityczne, gospodarczo-społeczne i kulturalne, jak również przebieg stosunków polsko-rosyjskich, rozumiane nie tylko jako oficjalne kontakty polityczne, lecz także – jako wzajemne przenikanie się wpływów kulturalnych i najróżniejsze więzi łączące obydwie narody.

Jest to kompendium wiedzy o głównych wydarzeniach z rosyjskiej przeszłości, swoisty „bryk” dla nauczycieli, studentów i uczniów szkół średnich, lecz także interesująca lektura dla wszystkich, którzy chcą poznać historię stosunków rosyjsko-polskich.

Ostatni rozdział, Epilog, poświęcono omówieniu dyskusji na temat tragicznego losu rodziny carskiej w 1918 roku.

Książkę uzupełniają obszerna bibliografia i indeks nazwisk.

Przygotowaną do wydania kontynuacją książki Liliany Trzebskiej będzie publikacja pióra Władysława A. Serczyka pt. Dzieje czerwonego imperium. Rosja w latach 1917-1991.

dla zainteresowanych podajemy  
adresy Hurtowni Wysyłkowej WKRA

83-140 Gniew  
ul. Krasickiego 8  
tel/fax (069) 35 22 84  
i Krajowej Księgarni Wysyłkowej  
WKRA  
02-242 Warszawa  
Al. Prymasa Tysiąclecia 83  
tel. 32 46 11 w. 205, 206

## Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne oraz Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

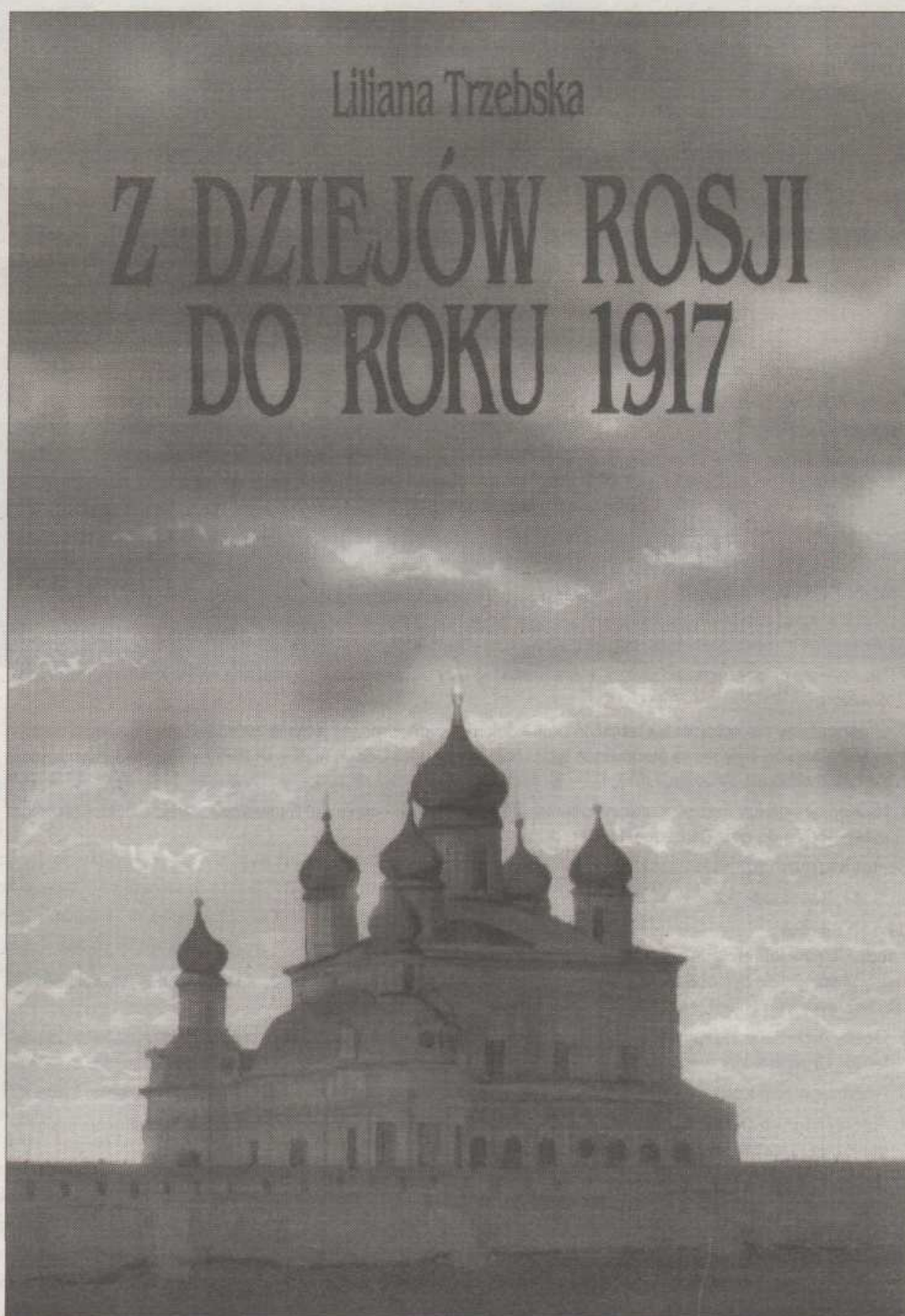
serdecznie zapraszają na:

### Spotkania z podręcznikiem szkolnym

które odbędą się w dn. 28-31.03.1995  
na terenie WSP w Krakowie, przy ulicy Podchorążych 2.

**W programie m.in.:**

- spotkania z autorami podręczników szkolnych,
- kiermasz
  - podręczników,
  - książek metodycznych
  - i pomocy dydaktycznych.



Włodzimierz Maciąg **Klucze i wytrychy**

Z pewnością jest powód do zmartwienia. Życie kulturalne „powinno być” rozkwitnąć świeżymi pędami, literatura miała błysnąć nowymi ideami, teatr, kino, plastyka, miały nam przynieść nowe, wspaniałe owoce. Nie widać tych owoców – tak twierdzi przynajmniej Kinga Dunin (Wolne państwo, wolna kultura..., „Twórczość” nr 1, 1995). Z jednej strony pojawiają się tendencje do zamykania się w narodowej parafianstwie, z drugiej – liberalne czy też postmodernistyczne rozpasanie, że „wszystko wolno” i nic nie jest lepsze od czegoś innego. Jedno nietwórcze i drugie jałowe. Co prowadzi Kingę Dunin do niepokoju i wątpliwości, czy aby na pewno liberalizm, demokracja liberalna, a wreszcie zwiększanie się wolności obywatelskich, czy wszystkie idące w tym kierunku przemiany sprzyjają na pewno kulturze, jej rozwojowi, jej promieniowaniu, samej twórczości wreszcie? Kinga Dunin zdaje się szydzić z naiwnych, którzy w to uwierzyli. I w tym sceptycyzmie jest mocna i na pewno ma rację.

Tylko nie pisze, kto właściwie tak wierzył. I kto sobie wyobrażał, że prosta likwidacja urzędu cenzora automatycznie prowadzi do podniesienia stopnia intensywności życia umysłowego. Doprawdy, nie umiałbym wskazać żadnej poważnej refleksji wspierającej podobną wiarę. W humanistyce dominował raczej nastrój ostrzeżenia: że uzyskana wolność „stawia zadania”, „zwiększa odpowiedzialność”, odnawia problematykę sensów. Słowem, że chociaż będzie łatwiej, to jednak będzie trudniej. Zaczynam więc domyślać się, że to Kinga Dunin tak wierzyła. I teraz pragnie się z tą wiarą obrachować. Jeśli tak – jest na dobrej drodze.

Wszedłszy wszakże na dobrą drogę, przemyśleć powinna i sprawdzić jedno swoje przeświadczenie, na którym opiera cały wywód: przeświadczenie o jakiejś bezpośredniej zależności życia umysłowego – od form ustrojowych. Taka zależność istnieje oczywiście, było kilku geniuszy, którzy ją udowodnili. Ale – może poza Marksem, a i to nie jest bezdyskusyjne – nie twierdzili oni, że kultura nie ma innych uzależnień i uwarunkowań. Oni mówili tylko

(np. Max Weber), że można zaprojektować pewne struktury, czy też pewne procesy, które dają się w swoich funkcjach społecznych zrozumieć jako wytwory innych struktur i procesów, że być może pozostają z tymi drugimi w zmiennej zależności. Tak zaprojektować można pojęcie np. „kultury mieszczańskiej”. Albo „rolniczo-chłopskiej”. Albo dziesiątki innych podobnych, które tak lubią socjologowie, a które mają to do siebie, że wprowadzają swój „porządek” tam, gdzie porządku nie ma. Bardzo dobrze się nimi „operuje”, ale to nie znaczy, że nie budzą one zasadniczych wątpliwości. Mitem wewnętrznym Kingi Dunin jest przeświadczenie, że życie umysłowe zbiorowości zmierza, czy nawet musi zmierzać, do jakiegoś „porządku” i jeśli tego nie chce czynić – staje się „właściwie antykulturą”. A jest to mit wybudowany właśnie na owej zależności, która – jak zdaje się wierzyć autorka – „daje oblicze” chaosowi.

Jeśli kulturę potraktujemy jako nazwę całości kształtu naszego życia umysłowego i jego produktów (definicja najobszerniejsza z możliwych), to musimy przestać wierzyć, że jest ona w jakiegokolwiek mierze „zmierzaniem do porządku”. Jej źródła i jej uzależnienia są tak wielorakie, że prawie nieobliczalne. Domena gospodarki i polityki daje jeden (no, może kilka) z jej wielu wymiarów – i zakłada, że w tym właśnie uzależnieniu odnajdziemy jej istotę, to prowadzi nieuchronnie do wiary w fikcję umysłu. Ustrój demokratyczny nie wytłumaczy nam w żaden sposób posuchy kulturalnej, pytanie jest fałszywie postawione. Kultury kwitną czasem pod władzą tyranów i więdną kiedy indziej w państwach liberalno-demokratycznych. I traktowane jako „nadbudowy” (to okropne słówko wymknęło się Kingie Dunin chyba nieprzypadkowo, bo przeświadczenie, o jakim mowa, tkwi głęboko w jej umyśle) zaczynają być fałszywie rozumiane. Że umysł lubi zniekształcać zjawisko, które ledwie co rozpoznał – to jego cecha przyrodzona. Ale żeby miał powierzać się owym jednostronnym, degradującym zjawiskom strukturalnym, żeby się tak wikał we własne pojęcia – to po prostu niedopuszczalne.

**Mowa, którą sobie wygłosił Kazimierz Wyka na swoim jubileuszu w dniu 18 kwietnia w Krakowie roku 1970.**

Jeden od chłopca, jeden jest od króla,  
ja od Adama, lecz bardziej od Jula,  
który to natchnął mą twórczość nadzwyczaj,  
jak ja potem „Twórczością” znów – Iwaszkiewiczza.  
Ale czy starczy dziś tego natchnienia,  
jakie się miało w dobie „Odrodzenia”?  
Świat spokojnie się kręci. Nie płonie, nie tonie,  
lecz dawniej łatwiej było utrzymać się w „Pionie”.  
I coś mi się zdaje poniekać, jak gdyby,  
że życie literackie, to Życie na niby,  
po prostu przypomina, proszę koleżeństwa,  
Podróż do krainy nieprawdopodobieństwa.  
Do żywego wciąż jeden problem mnie porusza,  
kto lepiej napisał Pana Tadeusza?  
Szczere powiedziałszy, to tego nikt nie wi,  
czy ja, czy Pigoń, czy Adam Mickiewicz?  
Stąd więc nieraz zaduma do piersi się wkrada  
i niepokój ogarnia, czy Stara szuflada  
zdoła uchronić w sobie i pomieścić,  
całe jak uciał – Pogranicze powieści?  
Różne dylematy trwożą się i mnożą,  
bo zawsze są dwa wyjścia, w myśl znanej teorii,  
tak jak są dwie drogi, tak jak dwie natury,  
czy literacko mam wejść do historii,  
czy historycznie do literatury?  
(Rzecz się podobnie ma, wynika z tego,  
Jak Jakubowski do W. Kubackiego)  
to Rzecz wyobraźni – ulotna materia,  
tu nie pomogą Łowy na kryteria.  
Jedno jest pewne, bez dyskusji wszelkich,  
że spośród Kazimierzów – jeden jestem wielki,  
o czym do głębi są już przekonane,  
Duchy poetów (te co) podsluchane.  
Czas kończyć wielkie słowa i małe półstówka,  
proszę gości do stołów, czeka ot, „wykówka”.  
Niechże się w życie na tej sali wcieli,  
czysta – Legenda i prawda „Wesela”.

(tekst odnaleziony w archiwum Kazimierza Wyki)

**Komunikat****IV OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI**

ORGANIZATOR:  
Centrum Kultury i Sztuki  
Województwa Siedleckiego  
przy współudziale  
Fundacji Kultury Podlaskiej  
i Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej  
w Siedlcach

Celem Konkursu jest popularyzacja twórczości poetyckiej, rozbudzenie talentów i ich wspieranie, stworzenie warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji twórczości Podlasia z twórcami innych regionów.

**REGULAMIN**

1. W Konkursie mogą wziąć udział poeci nie zrzeszeni oraz poeci będący członkami związków twórczych – niezależnie od miejsca zamieszkania.
2. Na Konkurs należy nadsyłać utwory, które dotąd nie były publikowane i nagradzane na innych konkursach poetyckich.
3. Organizatorzy nie ograniczają tematyki prac konkursowych, prosząc jedynie twórców, aby inspiracją nadsyłanych utworów były słowa stanowiące tytuł i hasło Konkursu CZŁOWIEK – DOBRO – PIEKNO i wynikające z ich połączenia przesłanie.
4. Na Konkurs należy nadsyłać utwory (poemat lub cykl wierszy – minimum 5 utworów) w pięciu egzemplarzach maszynopisu do dnia 31 marca 1995 r. pod adres:  
Centrum Kultury i Sztuki  
ul. Bpa I. Świrskiego 31  
08-110 Siedlce  
z dopiskiem na kopercie „Konkurs poetycki”  
Każdy utwór winien być opatrzony godłem. To samo godło powinno występować na dołączonej kopercie zawierającej kartkę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem autora.
5. Oceny nadesłanych prac dokona Jury, w skład którego wejdą krytycy i poeci oraz przedstawiciele organizatorów. Organizatorzy nie zwracają prac nadesłanych na Konkurs.
6. Rozstrzygnięcie Konkursu i wręczenie nagród odbędzie się podczas imprezy poetyckiej w kwietniu 1995 r.
7. Autorzy nagrodzonych i wyróżnionych wierszy zostaną poinformowani przez organizatorów listownie lub telefonicznie i zaproszeni na uroczystość wręczenia nagród.
8. Nagrody i wyróżnienia zostaną ufundowane przez organizatorów i współorganizatorów, sponsorów oraz osoby prywatne. Na nagrody przeznaczona jest kwota ok. 25 mln (starych złotych) do dyspozycji Jury.
9. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do publikacji nagrodzonych i wyróżnionych wierszy w pokonkursowym almanachu poetyckim oraz do cytowania ww. utworów w pokonkursowych artykułach prasowych, audycjach radiowych i telewizyjnych – nieodpłatnie.
10. Szczegółowe informacje o Konkursie można uzyskać w Centrum Kultury i Sztuki Województwa Siedleckiego w Siedlcach, ul. Bpa I. Świrskiego 31, tel 44-68-00

W sprawach spomych wynikających z interpretacji regulaminu ostateczną decyzję podejmuje organizatorzy w porozumieniu z Jury.

Oczekując szerokiego zainteresowania Poetów  
SERDECZNIE ZAPRASZAMY do udziału w Konkursie

ORGANIZATORZY

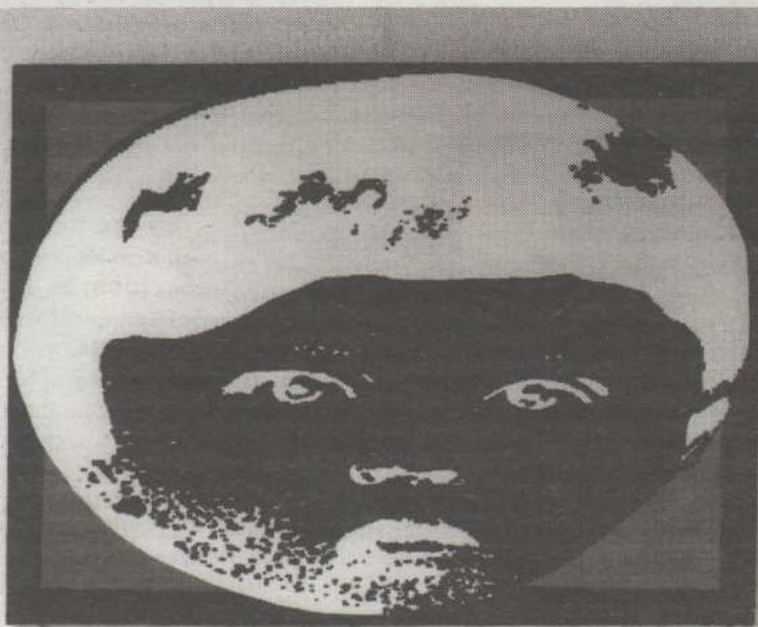
**Hyde Park Czytelników**

Dzisiaj prezentujemy wiersz PAWŁA MOSZALAKA z Warszawy. Piękna reinterpretacja mitu. Gratulujemy!

**Według ogrodnika**

Stanęli przed furtką, ona  
tulila do piersi dojrzałe jabłko, on  
glaskał u stóp leżącego węża, byli strasznie młodzi,  
przerażało ich każde ogrodzenie, kuśliła  
pustynia. To dla nich budowałem fatamorgany  
i kopałem niezgłębione studnie, za nich  
ginałem w walkach o źródło światła i płałem  
na słonecznych stosach. Teraz mogę już odпочać,  
stoi za mną cały pułk książek  
z wyprężonymi grzbietami. Gdy jednak  
chcę dotknąć nietykalne, zobaczyć niewidzialne,  
skaczą przez barykady usypane z piasku

wiruję pyłem na środku drogi, ścielę się kurzem  
na kartach Biblii i nigdy nie zapominam  
że na początku był owoc  
później głód



Paul C. Stolte, *Little dictator*, acryl na płótnie, 135x100 (Przestrzeń – Format – Znak)